

M.S.  
in.  
L. W.  
w  
Łodzi

# odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

11

Rok I.

Łódź, 11 maja 1958 r.

Cena 1 zł

nr

EDWARD ETLER

## KONIEC CZASU OŚWIECENIA?

Likwidacja analfabetyzmu, przynajmniej jako zjawiska masowego, była ostatnim przejawem działalności oświatowej. Działalności zmierzającej do celu za pomocą ściśle określonych metod. Był to cel konkretny, łatwo uchwytne, co niewątpliwie ułatwiało akcję, pozwalało ją przeprowadzić „zgodnie z planem”. Zresztą nie należy przesadzać. Likwidacja analfabetyzmu ma większe znaczenie statystyczne niż praktyczne. Należy jej jednak zawdzięczać, że szeregi analfabetów nie są już zasłane przez młodzież.

Analfabetyzm. Chodzi tu o znajomość dwudziestu czterech podstawowych liter polskiego alfabetu. Gorzej jest z rozeznaniami w dziedzinie kultury. Tu nadal panuje powszechny analfabetyzm. Zjawisko tym bardziej przykre, że częstokroć jest powiązane z ogólną kulturą życia. Jak dziś, wiosną 1958 roku — wygląda akcja, która ma zaradzić temu złu? Czy my ją w ogóle prowadzimy?

W naszych salonach wystawowych coraz częściej pojawia się abstrakcjonizm. Teatry wystawiają Becketta, Ionescu, Geneta, Wildera, Anouilha, Giraudoux, Montherlant... Radio daje koncerty muzyki konkretnej, na razie z płyt. Można się spierać, czy nie jest tego dobrego za wiele — będzie o tym mowa za chwilę. Tymczasem można zaryzykować stwierdzenie — że sztuka, którą ofiarowujemy odbiorcy — ma oblicze wyraźnie skrytykowane. Treść tego oblicza jest niewątpliwie „nowa” związana z najbardziej współczesnymi poszukiwaniami. Dlatego jakakolwiek działalność, mająca na celu odepchnięcie odbiorcy od „nowego”, najkrótszą drogą zmierza do... odepchnięcia ludzi od sztuki w ogóle. Bo wszystko, co dzieje się w sztuce poza jej „nowoczesnością”, naprawdę nie pozwala się traktować serio. Jak wygląda nasze życie plastyczne bez „salonów nowoczesnych”? Jakże wygląda repertuar teatrów — gdy pominiemy Ionescu, Becketta, Sartre? Najszczęśliwszą jest bez wątpienia muzyka, ale ona na odmia-

nę nie cieszy się zbyt dużą popularnością.

Niedawno przeprowadziłem pewną ilość rozmów. Chciałem wysłuchać, jak „widzi” odbiorca „nową” sztukę. Plastykę, poezję, dramat... Przypomniał mi się w związku z tym — rysunek satyryczny Petera: pada deszcz, ulicą idzie sobie paw. Pod jego pięknym ogonem ukrył się mały, oskubany ptaszek, coś pośredniego między gawronem a kawką. Podąża za pawiem... Tak jakos odbiorca widzi rodzime a „no-

Dokończenie na str. 4

## UMAWIAMY SIĘ Z WAMI NA SPOTKANIE

CHCEMY SZCZERZE POMÓWIC O PIŚMIE PRZYJDŹCIE DRODZY CZYTELNICY, W PRZYSZŁĄ ŚRODĘ, 14 bm.

W KLUBIE MIĘDZYNARODOWEJ PRASY I KSIĄŻKI

O GODZ. 19 CZEKAĆ NA WAS BĘDZIE ZESPÓŁ

odgłosów

ZBIGNIEW NOWICKI

## PRAOJCOWIE Z GĘSLAMI... CZY Z TOPORAMI?

Przeczytałem felieton S. Czernika, zamieszczony w 9 numerze „Odgłosów”, noszący tytuł „Praojcowie z gęslami”.

Czernik rysuje wizerunki naszych praojców, przytaczając opisy Simokattesesa z roku 595:

„Noszą zaś cytary (gęśle), ponieważ nie są przyzwyczajeni odziewać się w zbroje, bo ich ziemia nie zna żelaza i dlatego pozwala im żyć w spokoju i bez waśni. Grają na lirach, ponieważ nie umieją dąć w surmy bojowe, a ludźmi, którzy nigdy nie słyszeli o wojnie, zbyteczne są oczywiście surowsze rodzaje muzyki”.

„Taki jest pierwszy wizerunek naszych praojców — dodaje S. Czernik. — Ludzie pokoju. Ludzie, którzy udawali się w świąt, na obszary objęte wojną, z gęslami w rękę”.

Osobiście nie chciałbym zarzucać kłamu Simokattesowi, ale przecież i wiele przeze mnie szanowany Herodot także przeróżne kosałki — opalki czyli pomyłki geograficzne i historyczne popełniał w swych księgach.

Wystarczy się o tym przekonać odbywając małą wędrowkę na Pl Wolności 14, do Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego, gdzie w trochę ciasnych salach znajdu-

ją się sprawy, a niekiedy i kości naszych praojców — poszufladkowane, dokładnie opisane.

W regionie łódzkim, we wsi Janisławice powiatu skierniewickiego odnaleziono grób człowieka z mezolitu tj. 10.000 — 2.500 lat przed naszą erą. Nie gęśle przy nim znaleziono, ale 10 nożyków, siekiere z zastrzonego kła dzika, trzy skrobacze z kłów dzika, 3 kolcowate ostrza wykonane z łopatek jakiegoś tura, w grocku do strzała i w wiele innych wojennych rzeczy. A był to być może, pra-praojciec tych ludzi, o których wspomina Simokattes.

Powiada Simokattes w VI wieku naszej ery, że nasi praojcowie żelaza nie znali.

Kiedy zaczęto ryc fundamenty pod Nową Hutę odnaleziono pozostałości ogromnego, bo prawie na przestrzeni 8 kilometrów rozłożonego wielkiego kombinatu przemysłowego z I-szego stulecia naszej ery, a więc na 500 lat przed Simokattesem. Odnaleziono dużą ilość piecy garncarskich i sporo dymarek, czyli pieców hutniczych służących do wytapiania żelaza. Na bardzo niewielkiej przestrzeni naliczono aż dziewięć tych dymarek, zbudowanych w trzy równiutkie rzędy — prawdziwa fabryka żelaza. Ileż takich dymarek, jeszcze nieodkrytych, jest z pewnością rozsianych po całej Polsce?

Wykopaliska mówią, że na 500 lat przed Simokattesem, nie tylko znaleźliśmy żelazo, ale i byliśmy nawet... eksporterem żelaza.

Praojcowie inżynierów i budowniczych dzisiejszej Nowej Huty, przed prawie dwoma tysiącami lat mieli własną Starą Hutę zbudowaną wedle, jak na owe czasy, nowoczesnej techniki.

Znali więc doskonale żelazo, wyrabiali z żelaza miecze i noże, topory, grzmocili nimi po łbach swoich wrogów, walczyli między sobą, często gesto sami brali po skórze. Rozkopuje się u nas dziesiątki prasłowiańskich mogił — odkrywa się w nich nie liry, ale uzbrojenie wojowników.

Zapewne byliśmy trochę zacofani w stosunku do Zachodu (niestety, zawsze to samo). Ale przecież na pewno nie chodzili nasi praojcowie z gęslami między wronów — chyba że na przeszplegi. Bo i to się nam zdarzało, nie można bowiem słowianom odmówić sprytu i przebiegłości.

I ostatnia sprawa. S. Czernik pisze:

„Czy przyznajemy się do nich? (to znaczy do praojców z gęslami — przypisek mój Z.N.). Myślę, że warto. Czy oni przyznaliby się do nas „późnych wnuków”, jak powiem za Norwidem? Nie wiem. Jesteśmy ludźmi raczej wody niż

liry. Człkawa nas raczej oznajmia niż dźwięk strun... Daliśmy się zdemoralizować czasem okrutnym, wiekowi zbrodni i wojen”.

W prasłowiańskich mogiłach, które rozkopują archeolodzy znajduje się wiele przedmiotów, którymi obdarzono nieboszczyka na jego pośmiertną drogę. O ile wiem nie ma wśród tych przedmiotów gęśli, jest natomiast uzbrojenie, są naczynia. Trudno powiedzieć, czy był w nich napitek z wodą źródlaną, czy też zamocowy 45-procentowy alkohol albo też zgoła niewinny aperitif. Jedno jest pewne — nie stroniłi słowianie od trunków. W naszych czasach zapewne trochę przechłowano w tej dziedzinie. Ale to już inna sprawa.

S. Czernik powołując się wciąż na Simokattesę daje i fizyczny wizerunek naszych praojców, pisząc:

„Zdziwienie wywoływał wzrost i wspaniała budowa. Oto legendarny Waliłgóra, oto klechdziański Wyrwidab”. Jednym słowem — praojcowie nasi byli rośli i piękni.

(Dokończenie na str. 2)

Współczesna sztuka włoska



Mascherini „PIESŃ PIESNI”.

Fot. Marek Nowicki

# BRODACZE, JA I HIPOPOTAM

Wasz Belfer, bawiąc ostatnio w Warszawie, zajrzał sobie do piwniczki i kawiarni nawiedzanych przez młodych a bez trosk zda się ludzi, których znakiem rozpoznawczym są brody lub jakiegokolwiek inne szczegóły aparycji i stroju, odbijające od przeciętnej wygładzi ulicy. Wasz Belfer nie szukał tam, rzecz jasna, egzotyki. W pogoni za nią udalby się zapewne do PGR. Tu wszystko było znajome: opisane, sfotografowane, sfilmowane i straciło jakkolwiek blask nowości i sensacyjności na bardzo już dawno minionym etapie.

Wasz Belfer wpadł tam, by zwyczajnie sobie posiedzieć, żeby mu dym poszczykał oczy, kawa pociekła przysłoniła, żeby mu magnetofon pograł muzykę konkretną i żeby mu na ekranie pomigały kolorowe plamy filmu o taszymie. Poza tym Belfer chciał trochę pogadać. Kiedy po godzinach odsiadki wyszedł na ulicę, westchnął świeżym powietrzem i rozprostował gnaty, trawić zaczął myśli, które kolatały mu we łbie po owej piwnicznianej pogawędce. Teraz siedzi i pisząc ich strzępki stara się odtworzyć.

Przed dwoma i trzema laty grupki młodych ludzi „ze-

szły do piwnicy", okutawszy się w niebrydki, choć udziwnione stroje i tworząc nowe u nas a bardzo egzotyczne i specyficzne mikroklimaty. Zagnał ich tu bunt przeciwko zjawiskom ówczesnej współczesności, lub częścię chęć pozowania na bunt plus autentyczny bakcył przekory, wreszcie przejęcie się literaturą i sztuką współczesną, która na on czas zaczęła przeniknąć do wąskich grupki młodzieży. To ostatnie wyróżniało ich spośród wcielo-

szuki i poszukiwania prawd ostatecznych, zaopatrzonych w cztery dna". „Lubię przebywać w towarzystwie egzemplarzy mi podobnych i odprawiać przy kawie, magnetofonie i kolorowych plamach swoje nic, nasze nabożeństwo".

Dobra. Ale drugi punkt tego ideologicznego programu musi zawierać odpowiedź na pytanie: fajno, ale co z resztą ludzi? Czy zgodnie z waszym światopoglądem wszyscy mają powiedzieć „tumiwiśi" i owa obojętność dla świata, produkcji, układania stosunków między ludzkimi realizować w praktyce? Jeśli tak, to wyznajecie ideologię ludobójczą, a stosowanie waszych kanonów równe jest — w ocenie moralnej — tuzinom bomb wodorowo-atomowych — bo jeść trzeba, produkować trzeba, administrować trzeba, uczyć dzieci trzeba i wiele w ogóle, wiele rzeczy trzeba.

Można pogardzić robotami, mrówkami, frajerami, tarciem, które się gdzieś i jakoś angażuje i dba o swoją ekonomiczną i społeczną produktywność, można rolę sobie swoją wyżywić, ale chyba ich trzeba tolerować, no nie? Mało tolerować! Chuchać, dmuchać i chwalić tych swoich żywciele. Bo uważajcie! My zaangażowani: bałwany możemy się uwić, zrobić wam kawał i wszyscy zejść do piwnic!

Na tą mowę i tą groźbę tumiwiśi nic mi nie odpowiedział, a raczej kręcił coś i mętnaczył na płaszczyźnie „ostatecznego sensu". Tedy sobie poszedłem.

Tylko, że po tej wycieczce męczy mnie diabelna zawiera. Bo takie to... no, pal sześć, że nie orza i nie sieja, ale jeszcze czterech liter nie nadstawiają światu, a więc i w nie nie dostają! Za to mieć za złe co mają, dźanie! Postanowiłem się odgryźć! A więc za mną robotnik, chłopie, inteligencie pracujący i inteligencie twórcy! Za mną włókniarze, tramwajarze, inżynierowie i nauczyciele! Zlazimy do piwnicy. Śladamy. I zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Dobrze Belfrze — odpowiecie Wy, mol Uczniowie. Idziem. Ale co to ma wspólne z nauką czytania gazet?

A ma, mili moi, ma. „Express Ilustrowany" przyniósł wiadomość: „LONDYN (PAP). W pobliżu wodospadu Wiktrli (północna Rodezja) jadący tam samochód osobowy zderzył się z hipopotamem. Samochód został poważnie uszkodzony, kierowca odniósł rany, a hipopotam uszedł cały i zdrow".

Węc sobie pomyślałem, że oni są takim hipopotamem. Że to przyjemna rola. Że szkoda, iż nie w niej ołowika obsadzili. Że w nich można i Adenauerem i głowicą atomową. Tylko po co?

### BELFER



millionowej masy zjadaczy chleba i nie dziwnego, że miało się owo pozytywne przeciwieństwo wyodrębnić podkreślić strojami, fasonami wreszcie zamknąć się w elitarnych klubach, odgrodzić od innej myśli i odczuwającej reszty.

Mięły lata. Camusy, Sartre i Kantory trafili nieomal pod strzechy, zniknęła aura półkonnspiracji, nowości i buntu, przeciwstawiania czegoś-czemuś — zostały cztery pomalowane ściany a w nich ludzie już czasem z tysiącami przykrywanymi grzywką a la Tytusik.

Kiedy nie stało ideologii buntu i misję apostołowania „nowoczesności" podjęło Ministerstwo Kultury — nie wiadomo było co dalej ze sobą robić. Siedło się tedy przy kawie, oglądało w nieskończoność zabazgrane ściany, malowało, pisało wiersze lub — a to najczęściej — żuło się co inni piszą lub malują i... i nic. Do owego „nic" dodumano więc ideologię i taktykę.

Ideologia zwle się tumiwiśiz (od „tu mi wis!" i) głosi, że wszystko k... (W owym „wszystko" istotnie zawiera się wszystko od polityki, poprzez ekonomikę aż po czyste skarpetki). Taktyka zaś powiadała, by się w nie — poza grupowymi sporami artystyczno-personalnymi nie angażować.

Taka jest faktologia zagaźnienia. Trzeba więc rzecz, co stał dla Belfra i jego Uczniów ma wynikać.

Prawdę powiedziawszy, nie wiele. Na całym prawie świecie istnieje ten gatunek młodych ludzi, mało zauważany i po swojemu sympatyczny. Społecznie jest to zjawisko obojętne, poprzez swój skromny skład osobowy — po wojskowemu powiadając, tudzież żadne oddziaływanie na zewnątrz. W jakichś tam kategoriach, dobra sztuki jest ono pozytywne, bo zajmujące grządkę przeznaczoną dla kilku spośród stu obowiązujących kwiatów. W waszego Belfra zainteresowała więc ideologiczno-strategiczna stroną zagaźnienia. Zatakowano go bowiem w piwnicze w rytmie muzyki konkretnej:

— Czego się, bałwanie, an gażujesz?!

— Nie wolno? — odpowiedziałem pytaniem.

— Nie! Olala — inteligentnie pomyślałem. — A gdzie wasza programowa tolerancja? I zacząłem przypierać dzielnych tumiwiśistów do muru. Bo ja rozumiem: można sobie powiedzieć: „mam wszystko gdzieś", „ten śliczny świat mi wisi razem z jego bieżącymi problemami". „Ja obracam się w sferze

# PRAOJCOWIE Z GĘSLAMI CZY Z TOPORAMI?

(Dokończenie ze str. 1)

Nieprawda. Praojcowie nasi byli mali i drobni. Dla odwiedzających muzea nie jest żadną tajemnicą, że współczesny mężczyzna nie wciągnie na siebie wczesnośrednio-wiecznej zbroi, będzie ona dlań za mała.

W licznie rozsiadanych po Polsce grobach słowiańskich niekiedy odnajduje się podkowy koni, choć przeważała u słowian plechota. Podkowy te są śmiesznie małe — wojownicy Mieszka czy Chrobrego używali koników bardzo małych. Nie byli więc wielkoludami, owymi Wyrwidębami czy Waligorami — rumak naszych praojców nie udźwignąłby współczesnego wojaka.

Przeszłość, czasy naszych praojców, lata Mieszka i Chrobrego — to właśnie czasy strasliwej walki o władzę bezwzględnej i okrutnej walki, w której brat ścigał brata, a schwytawszy go wylupywał mu oczy, siostra fruła braci, mężowie zabijali żony. Nasze wypaczenia związane z takim na przykład przymusem wstępowania do spółdzielni produkcyjnych — niezam jest w porównaniu z przymusem przyjęcia chrześcijaństwa, które słowianom narzucił Mieszko I. Był to chrzest nie z wody, lecz z krwi.

### ZBIGNIEW NOWICKI

Lektura; Józef Widajewicz „Państwo Wiślan", Gerard Labuda „Studia nad początkami państwa polskiego".

Kazimierz Tymieniecki — „Ziemie polskie w starożytności".

Paweł Jasienica — „Świt słowiańskiego jutra".



# NAFTA, DOLARY i KORAN



Wszyscy ludzie są równi wobec wielkości Boga i małości wężego strumyka na pustyni" — głosi arabskie przysłowia. Na niezmiernych pustyniach Arabii Saudyjskiej woda jest skarbem bezcennym. Można przebyć setki kilometrów i nie natrafić na jej źródło. Jest za to dużo ropy. Krywają te pustynie połowę odkrytych światowych zapasów ropy. W XX wieku ropy jak magnes przyciąga kapitały. Nie więc dziwnego, iż po II wojnie światowej popłynął i zaczął wsiąkać w arabskie pustynie rwący potok dolarów. W 1948 roku powstało Aramco, potężny monopol, który do dziś posiada wyłączne prawo eksploatacji arabskiej ropy. Zainwestowano ponad miliard dolarów, zbudowano szczyby naftowe, osiedla, lotniska, pustynie przejęły wstęgi pięknych asfaltowych szos.

Nafta wytrysnęła, popłynęła milionami beczek na cały świat, zaczęła napędzać samochody francuskich mieszczan i okręty greckich armatorów. W zamian za nią popłynęły dolary, dużo dolarów. Popłynęły do kas akcjonariuszy Aramco i do kieszeni Ibn Sauda, władcy Arabii Saudyjskiej. Pół na pół. Połowa zysków dla Aramco, połowa dla Sauda. Ta połowa to 350 mln dolarów rocznie.

Nafta i dolary zmieniły oblicze Arabii Saudyjskiej. W Rijadzie wybudowano potężny pałac królewski. Dzieśiątki lśniącego „Cadillaców" raz po raz mkną z królewską świtą do świętych miejsc Mekki i Medyny. Wielki harem, w którym mieszka blisko półtora setki małżonek Ibn Sauda zdobił szczyt złotymi ornamentami i tysiącami klejnotów.

350 mln dolarów to ogromna suma dla każdego państwa. Ale te 350 mln dolarów stało się źródłem bogactwa jedynie dla tysięcy wybranych. 90 procent tej sumy pochłania dwór królewski. Okazało się, że wobec strumyka złota na pustyni, nie wszyscy ludzie są równi. Jednocześnie jednak przez listy plac Aramco przeszło około 20 tysięcy

arabskich urzędników. Tyśiące z nich usamodzielniło się. Powstała warstwa burżuazji wysoko płatnych fachowców. Zaczął narastać konflikt między starą arystokracją, której symbolem jest król, ledwo umiejący pisać i czytać a młoda, prężna, chciwa burżuazja. Tego rodzaju konflikt obalili monarchię francuską u schyłku XVIII wieku. Czy ostanie się pod jego naporem monarchia saudyjska niemal 200 lat później?

Nad tym problemem nie zastanawiali się amerykańscy dyplomaci. Szukając punktu oparcia na wzburzonych falach Bliskiego Wschodu, amerykańska dyplomacja wybrała Ibn Sauda. Dla niego właśnie, który przy przyczyn dynastycznych i z względu na dobrze pojęty interes bandlowy nie chciał przystąpić do militarne go Paktu Bagdadzkiego, stworzona została „doktryna Eisenhowera".

Przebiegają się również o ewentualnych rozmowach Fejsala z przedstawicielami włoskich i japońskich monopolów naftowych, którzy namiastnym wrokiem przyglądają się bliskowschodniej nauce, chcąc jej władcom dać 60—65 procent zysków, a nie 50, jak daje Aramco.

O ile by ewentualne rozmowy przyniosły pozytywne rezultaty, to Aramco utraciłoby swój monopol na arabską naftę. Powstałyby warunki dla większej ekonomicznej niezależności Arabii Saudyjskiej, co również nie pozostanie bez wpływu na jej politykę.

Ibn Saud wyjechał niedługo na wielomiesięczną kursację do Szwajcarii. Tam zdala od swego kraju oczekiwać będzie wieści o jego losach. Sytuacja na Bliskim Wschodzie jest tak burzliwa i tak często zaskakuje niespodziankami, że i nam nie pozostaje nic innego, jak czekać na dalszy rozwój wydarzeń w tym ciekawym i tak ważnym dla całego Bliskiego Wschodu kraju.

### ZASTĘPCA

## KORRESPONDENCJA

# PILNA UCZENNICA

Bardzo to pięknie, że tygodnik „Odgłosy" nr 10 stał się wzorem tak rzadkiej u nas tolerancji ideowej. Gdy bowiem na drugiej stronie „Odgłosów" wojuje pan z Ciemnogrodem w „Naszej szkole" — na stronie czwartej p. E. Etler propaguje w pewnej mierze tezy właśnie przez pana zwalczane. Jakże się tu nie zachwycić pokojowym współistnieniem dwóch sprzecznych z sobą poglądów na łamach jednego pisma?

Jesteśmy, redaktorze Belfer, świadkami gorączkowego poszukiwania przez Ciemnogroda nowych czarownic, albo inaczej — ludzi odpowiedzialnych za niezadawalający stan moralny naszej młodzieży. Smutne jest, gdy na pozycjach Ciemnogroda stają i ludzie, o których dotąd można było sądzić, że kieruje nimi światły racjonalizm. Kto winien demoralizacji młodzieży? Oczywiście literatura i Wydawnictwa, które jak wskazuje p. „Hendryk" na łamach „Głosu Robotniczego" — „licytują się w wydawaniu literatury surrealistycznej, uświadamiającej naszą młodzież w zagadnieniach pedestrii, onanii, narkomanii, sadomu, masochizmu, ekshibicjonizmu, fetyszyzmu, et caetera bomba". Wyśmiewa pan, redaktorze, tego rodzaju poglądy p. „Hendryka", a czy zauważył pan, że w tym samym numerze „Odgłosów" właśnie p. Etler w artykule „Okopy jeźmości pornografii" jakoś się z panem nie zgadza?

Kto winien, że w Łodzi istniał „dom publiczny", w którym „pracowały" kilkunastoletnie dziewczęta, że pewien szesnastoletni łobuz zwałcił dziewczynkę, a rodzice nie mają o to pretensji? Pan Etler stwierdza, że winien jest w tym wypadku profesor Jan Kott, który po powrocie z Pa-

ryża opisał w poważnych piśmiech kulturalnych na czym polega strip-teas, ba, wyłożył nawet jego reguły. Powiedźmy, że to jest żart.

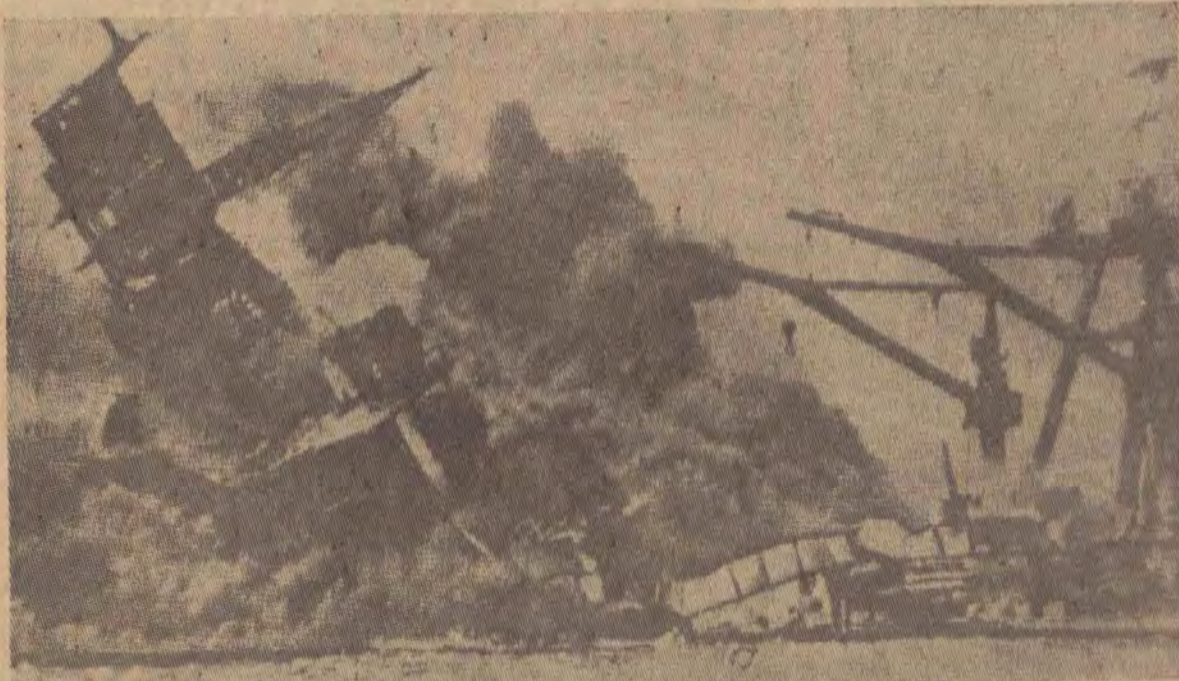
Jakie wobec tego widzi p. Etler lekarstwo na zahamowanie upadku moralnego młodzieży? Etler twierdzi: trzeba powiedzieć „dość". Na tym kończą się jego nauki i o tyle cenny jest jego elaborat.

Szanowny redaktorze! Pozwolę sobie przypomnieć, że w tzw. minionym okresie, na przestrzeni kilku lat licytowaliśmy się w wydawaniu literatury super- i hiper-wychowawczej. Potem nagle przekonaliśmy się, że mimo ogromnych nakładów książek wychowawczych i dydaktycznych, stan moralny naszej młodzieży jest bardzo niezadowolający. Albowiem dla nikogo nie powinno być

OSCAR LINDAY

Część III

## POD APARRI EPOPEA DYWIZJONU ŚCIGACZY



### WE MGLE. — PRZYKRA NIESPODZIANKA. — BOJOWY CHRZEST PORUCZNIKA GASTONA. — CELNE TORPEDY. — S-35 WALCZY O ŻYCIE. — BEZSILNA WŚCIEKŁOŚĆ. — ODWRÓT.

Tę pierwszą salwę usłyszał również porucznik Gaston na S-34, gdy ścigacze jego pełnym gazem wychodziły z morza Wschodnio-Chińskiego na Pacyfik. Mimo woli stwierdził z uznaniem, że wróg jest szybki. Trzeba mu było dorównać. Od kilku chwil na ocean schodziła gęsta mgła. Z ledwością mógł dostrzec dwa pozostałe ścigacze: S-35 i S-36.

Z nasilenia kanonady wynioskował, że siły nieprzyjaciela są bardzo znaczne. W tej sytuacji jedynym jego sprzymierzeńcem mogła być mgła. Korzystając z resztek widoczności wydał pozostałym ścigaczom swego dywizjonu ostatni rozkaz: „działać na własną rękę”. Cisza radiowa obowiązywała ich już od pierwszej chwili, gdy otrzymał depeszę radiową z Manilla.

Niszczyciele zespołu kontradmirała Hary, już blisko pół godziny prowadziły ogień na nieprzyjaciela. Wszystko szło zgodnie z planem. W świetle błysków artyleryjskich, poprzez rzadniejącą mgłę, widać było wyraźnie, jak na pobliskich transportowcach uwiązają się żołnierze przygotowując do spuszczenia łodzi desantowe.

— Jak na ćwiczeniach — pomyślał Hara. Z filipińskiego brzegu nie wystrzeliło żadne działo. Za pół godziny powinno się już przejaśnić.

Nagle myśli admirała przerwał niespodziewany widok. Z ciemności wyłonila się smukła sylwetka ścigacza. Przeszedł tak blisko, że prawie otarł się o burtę „Natorii”.

— Toż to najwyższa nieumiejętność — krzyknął wzburzony Hara do otaczających go oficerów — tak kierować okrętem! Przecież mogło nastąpić zderzenie!

Zanim zdłoga ustalili jaka to jednostka, z pokładu sąsiedniego krążownika zająłoby ciekawym, a „niezdyscyplinowany” okręt bluznął długimi seriami ognia. Pociski zastukały po pancernych wieżach krążownika.

— Jankes! — wyrwało się z wulgią. Na pomoście dowódcy zapanowała konsternacja.

Na pomoście S-34, ukryty za zasłoną z pleksiglasu, porucznik Gaston oderwał dłonie od przepustnic gazu. Wyminałszy rozświetloną błyskami salw linię japońskich niszczycieli, puł całą szybkością na pełnej prędkości z sekundy na sekundę kadłub jakiegoś olbrzyma. W ostatniej chwili położył na burtę ster zapobiegł zderzeniu.

Ale oto wokół rozszalała orgia świateł. Ze wszystkich stron błysnęły długie macki reflektorów. Różnokolorowe paciorki świetlnych pocisków przecinały powietrze obcym, jęzgotliwym wyciem. Szły niszczycieli japońskich załamali się. Zmieniały kierunek, pędząc ku transportowcom — najczulszemu miejscu floty inwazyjnej. W powietrzu wisiła groza.

— Zasłona dymana! — ryknął Gaston z pomostu — zróbcie zasłonę. Torpedzista Cooper podbiegł do

wytwornicy. Z rufy rzygnęły kłęby białego dymu. Na pełnej szybkości Gaston dał rozkaz odstrzału torped. W prostej linii torpedowego celownika majaczył olbrzymi kadłub. Gaston sądził, że to transportowiec.

W tej samej chwili tuż obok S-34 wysoko wystrzeliły gejzery wody. Salwa burtowa krążownika chybiła. A każdy z jej pocisków wystrzelał, aby roznieść ścigacz na drobne drzazgi.

Tymczasem moment zamieszania we flocie japońskiej wykorzystał ścigacz porucznika Kerra — S-36. Dotąd niezauważony podszedł na odległość 200 metrów do potężnego transportowca. Zmniejszył szybkość i z ówczesną precyzją i spokojem wystrzelił dwie torpedy.

— Ster na prawo! Kerr wycisnął przepustnice aż do bólu dłoni. Oba silniki ryknęły pełnymi obrotami.

Nim wyszli z ostrego skretu kadłub olbrzyma zakotłował się od potężnego ciosu. „Naguro Maru” przechylił się na bok, gwałtownie nabierając wody dwoma wielkimi wyrwami w lewej burcie.

Był już najwyższy czas dla puśczenia zasłony dymnej. Jeden z japońskich niszczycieli wszedł na kurs ścigacza i rozpoczął ogień działami przednich wież. Wśród rwących się przy burtach pocisków załoga S-36 rzucając się sobie w objęcia święciła pierwszy, wielki triumf!

Kluczyli teraz ciągle, usiłując się wymknąć oślepiającym mackom reflektorów. Niszczyciele rozpoczęli wokół nich dziki taniec.

Nagle, z lewej, dostrzegli dwa, jeden po drugim silne błyski eksplozji torped. To krążownik „Kuma” otrzymał pożądaną porcję od porucznika Gastona.

— Gorzej poszło porucznikowi Mortonowi z S-35. Jakkolwiek jedna z na oślep wystrzelonych torped uszkodziła japoński niszczyciel, to jego własne położenie było bardzo ciężkie. Jeden z silników zakrzęcił się i umilkł. Na pozostałym nie mogli już umknąć dwóm posuwającym się niszczycielom. Enkaemy Japów bezustannie omiatały pokład długimi seriami. Celnie. Z nielicznej załogi jeden zginął, trzech było rannych. Nie pomagał już dymny generator. Mógł ich uratować tylko cud.

— Bomby głębinowe! Rzućcie na miłość boską bomby!

Torpedzista Galloway nie nie rozumiał. Przecież nie walczyli z łodziami podwodnymi. Ale wypełniając mechanicznie rozkaz dowódcy zwolnił uchwyt i rzucił w kłęby dymu za rufą trzy bomby.

I nagle stał się cud! Jap! gwałtownie zmienił kurs i wstrzymał ogień. Sądził, że ścigacz wpadł na pole minowe...

Należało szybko wykorzystać ten cudowny fortel! Morton błyskawicznie zeskoczył na rufę. Tu, kryjąc się za dymnym generatorem, leżeli skuleni dwaj marynarze. Z ich pomocą zepchnął do wody generator. Strzelec w opancerzonej wieżyczce enkaemu, sądził, że do końca postradał zmysły... Tymczasem ścigacz szybko oddalał się od chmury dymu, którą wciął powiększał unoszący się na powierzchni generator. Dniało.

Dwa japońskie niszczyciele bardzo ostrożnie podплыły do miejsca, gdzie, jak sądzili, powinny wynurzyć się resztki ścigacza, który utonął na własnej mianie...

już przywrócić nie było można — bezgranicznego entuzjazmu żołnierzy, którzy zrozumieli, że kampania filipińska nie będzie tylko triumfalnym marszem pod sztandarami wschodzącego słońca.

Ośiem długich jak wielki godzin trwał batalion kapitana Avacedy w morderczym ogniu desantowej piechoty. Całą artylerię zniszczyły pierwsze salwy Japończyków. Teraz mieli tylko broń ręczną. Avaceda widział zamieszanie w japońskiej flocie i domyślał się jego przyczyny. Już nie miał złości do „paniczyków w białych mundurach”. Wykorzystał tę godzinę do umocnienia swych pozycji. Gdy jednak napór nieprzyjaciela wspartego czołgami ze statków desantowych i nurkującymi bombowcami z lotniskowca, potężniał z minuty na minutę — pierścień jego obrony wreszcie pękł. Od tej chwili bezustannie obalali się na południe.

Na poszerzonym przyczółku Japończycy natychmiast uruchomili połowę lotniska. Równocześnie samoloty z baz na Formozie zaatakowały wszystkie punkty strategiczne Luzonu.

Plonąła Manilla — stolica Filipin. Cavite, baza marynarki wojennej stanowiąca olbrzymie morze ognia. Uzupełniające paliwo samoloty niszczono na pasach startowych przez nadlatujące falami bombowce japońskie. 9 grudnia — drugiego dnia wojny — lotnictwo amerykańskie na Filipinach praktycznie przestało istnieć. 11 grudnia posuwające się zachodnim wybrzeżem Luzonu wojska agresora osiągnęły port Vigan.

W tej sytuacji admirał Takahashi i gen. Homma — dowódcy lądowych wojsk inwazyjnych, zdecydowali się na zadanie ostatecznego ciosu. W zatoce Lingayen i na pobliskich przylądkach wyładowały główne siły japońskie. Zmładźwiły opór dywizji piechoty amerykańskiej i podjęły natychmiastowy marsz ku głównym siłom amerykańskim. Koncentrującym się w walkach odwrotowych w nizinnym centrum Luzonu. Oszłomieni pierwszymi sukcesami Takahashi i Homma złożyli generalnemu sztabowi meldunek, że godziny Filipin są policzone...

#### KORESPONDENCJA

## NASZEJ SZKÓŁKI DO REDAKTORA BELFRA

tajemnicą, że oddziaływanie literatury krętymi chodzi drogami. Pamiętam ankietę przeprowadzoną przez jedno z pism literackich na temat „Młodej Gwardii”. Pewna dziewczyna zapytana o wniosek jakie wyciągnęła przeczytawszy „Młodą Gwardię” Fiediejewa, odpowiedziała: „Chciałabym być szpiegiem”.

A poza tym, mam wątpliwości, czy owe małoletnie dziewczęta zatrudnione w owym „domu rozpusty”, czy ów toż, który zgwałcił małoletnią dziewczynkę — czytali Sartre, Camusa, Aretino, Brantome, Boccaccio i innych autorów, których drukowanie tak oburza p. „Hendryka”. Wątpię także, czy znane jest im nazwisko profesora Jana Kotta. Obawiam się natomiast, że systematycznie czy-

tywało to „towarzystwo”, na przykład „Łódzki Express Ilustrowany”, który do niedawna dzień w dzień systematycznie publikował zdjęcia podkasanych panienek. Zdaniem p. Etlera nie jest źle, gdy np. „Express” zamieszcza zdjęcie rozebranych dziewcząt. Złe jest jednak — jego zdaniem — gdy w piśmie literackim profesor Jan Kott pisze reportaże z Paryża, albowiem Jan Kott szerzy pornografię, nie robi zaś tego „Express”. Jak bowiem wiadomo pisma literackie czytane są u nas przez małoletnie dziewczęta, zaś „Express” dociera jedynie do rąk literatów i profesorów, oraz niekiedy studentów.

Obwinianie wydawnictwa i prof. Jana Kotta — jest, sądzę, próbą odwrócenia uwagi publicznej od istotnych przyczyn niezadawalającego stanu moralnego naszej młodzieży.

A czy nie należałoby raczej poszukać winnych wśród propagatorów masowego hazardu, który uczy zdobywania pieniędzy nie poprzez pracę, rzetelną wysiłek, lecz przez przypadek? Czy przyczyną złego nie tkwią w kryzysie metod wychowawczych stosowanych wobec naszej młodzieży? A może przyczyną zła jest znacznie więcej? Pamiętajcie ich na rzecz nowych „czarownic” — wydawnictwo i profesora Kotta — może tylko zaszkodzić sprawie wprowadzi w ślepy zaułek. Znajdziemy „winnych”, wyprodukujemy odpowiednią literaturę hiper-wychowawczą i tylko z młodzieżą kłopoty nie ustają. Lekarze zwykli mówić w takich okazjach: „operacja się udała, ale pacjent umarł”.

Z poważaniem Pilna Uczeń-nica „Naszej Szkołki”.

K  
T  
O  
R  
A  
B  
E  
L  
F  
R  
A

## ZA TYDZIEŃ



WEEK ENDS  
Z PRACY

str. 3 odgłosy

# KONIEC CZASU OŚWIECENIA?

Dokładnie ze 100

wczesne" poszukiwania, legitymujące się blaskiem ogona Europejszczyka — pawia, mamiące jego tęczęmi. Odbiorcę bawi na przykład zamknięcie się poezji w kręgu pretensjonalnych rozważań, w których rzeczy prościutkie myślowo podaje się tonem i frazą odpowiednią dla przysłówiowego odkrycia Ameryki. Infantylne stwierdzenia i filozoficzne komunikaty o życiu i kopulacji, rozbita na pojedyncze linijki, przeliterowane i pozbawione znaków przestankowych — zastępują pracowitość klasyków, rzetelnie dobierających rymy.

Niestety. Odbiorca nie wypowiada się na temat poezji. Po prostu jej nie czyta, a to jeszcze gorzej. Odbiorca zwiędza za to wystawę plastyki. Ale czyni to jedynie po to, żeby wpisać do „książki uwag” złośliwe życzenia i pomysły.

Słowem wypada zaanonosować koniec magii malarstwa, poezji w pewnej mierze nawet teatru. Przynajmniej jako zjawisk o charakterze masowym. Została magia teatru i literatury. Bo magia literatury jest wieczna, choćby dzięki obfitości materiału, stanowczego spuściznę po nieobecnych. O ile poezja wymaga wciąż nowych nazwisk, o ile malarstwo starzeje się w oczach, tak Dostojewski, Proust, Conrad — cbok garstki współczesnych — mogą niejako wynagrodzić. Analogicznie, tę samą równowagę, między „nowym” trudnym, a „tradycyjnym” lubianym reguluje kino. Ono bowiem, prowadząc swoje poszukiwania „nowości”, nie wprowadza jednak terrozu. Nikt na przykład nie zmusza widza do oglądania tylko filmów abstrakcyjnych, chociaż u nas takie filmy istnieją i zdobywają nawet międzynarodowe sukcesy. Za to, przed seansem kinowym widownia zaopatrzona w bilety, obiegujący poznanie konwencjonalnej anegdoki — z przyjemnością obejrzy krótki „nowoczesny” filmik i będzie zadowolona. Albowiem „nowość” w kinie, podobnie jak w literaturze — nie jest ustrojona na kształt i podobieństwo surrogatu. Zastępczego pokarmu, podsuniętego na miejsce ulubionego i łatwego strawnego.

Jest rzeczą zrozumiałą, że „nowe” sposoby w plastyce, będące wynikiem docieklivosti artystycznej, muszą z natury zjawiska mniej się liczyć z odbiorcą niż ze swoimi celami. Stąd blisko do sedna sprawy. Wszelkie poszukiwania artystyczne, acz trudne i elitarne — muszą być kontynuowane przy opatrzeniu ich najtroskliwszą opieką społeczną. Ale nie powinny one przesłaniać sobą tych gałęzi sztuki tradycyjnej — które bezpośrednio służą społeczeństwu w jego zasadniczej masie. Jeżeli bowiem wszystkie teatry grają rzeczy trudne, względnie dopuszczają się trudnej inscenizacji, niwęgdy, wtedy ów masowy, częściej komunikatywny a mniej wyrobiony widz zostaje pozbawiony teatru i oden odepchnięty.

Trudno tu rozpatrywać oświeceniowe przyczyny analfabetyzmu w dziedzinie kultury bez zaizolowania się nad historycznym aspektem zjawiska. Jedno można stwierdzić. Są dwie przyczyny, powodujące odchodzenie pewnej ilości ludzi od sztuki, lub ich obojętność.

1. Wspomniany terror rzeczy „nowych” a trudnych w określonych gatunkach sztuki. Terror nie biorący pod uwagę aktualnego stanu „oczytania”, a przechodzący nad nim do porządku dziennego.

2. Świadoma a nieprzemysłowa działalność, zarówno osób prywatnych, jak i instytucji. Dzieje się tak dlatego, że nie wszyscy godzą się ze stwierdzeniem, iż tendencyjne stawianie „nowoczesności” pod znakiem zapytania — jest działalnością wsteczną.

Metoda insynuacji — praktykowana w najwzrostach recenzjach, obok protekcjonalnego poklepywania —

to jeszcze bagatela. Groźniejsze jest kompromitowanie nowoczesnej sztuki za pomocą wprowadzonych w błąd odbiorców, gotowych mocą bezbronnego intelektu podpisać świadectwo niepożyteczności.

Przykład łódzki: oto niedawno ktoś wyjątkowo bezczelny usiłował zorganizować dyskusję o malarstwie nowoczesnym... przy udziale lekarzy psychiatrów, odpowiednio przygotowanych i urobionych do wydania werdyktu. Na szczęście siły rozsądku (w tym wypadku — Wydział Kultury Rady Narodowej) — zapobiegły tej godnej politowania imprezie. Na co liczyli organizatorzy awantury? Oczywiście na poklask zdeorientowanego konsumenta. I w każdym razie, niezależnie od udaremnienia tych taniutkich przewidywań — smutna sprawa pozostaje faktem: są u nas ludzie, którym zależy na poklasku, choćby analfabetów, w gruncie jednak rzeczy wprowadzają zamieszanie. Pogłębia ono i tak spory rozdział między sztuką, a rzeczą jej odbiorców.

Pozostaje kwestia, nazwana przez mnie „terrorem”. Czy można ją jakoś sensownie uporządkować? Na pewno. Trzeba tylko zgodzić się na kompromis, zresztą nieznaczny i konieczny. Myślę o ubocznej produkcji rzeczy, których kształt byłby tradycyjny. Produkcji w miarę możliwości nie rezygnującej z dobrego gustu. Produkcji dla zachowania gatunku i liczącej się z zastaniem, utrwalałym gustem. Chodzi mi tu oczywiście o pielęgnację ogródka nieco staroświeckiego — ale usprawiedliwionego autem społecznego zamówienia.

Inaczej rychło doczekamy się momentu, kiedy na każdą akcję będzie już za późno. Zabraknie amatorów do wysłuchania lekcji.

EDWARD ETLER



JÓZEF KADZIELSKI

## O „rdzennych” i „napływowych” łodzianach i ich wykształceniu

Jak przedstawia się ludność naszego miasta od strony tradycji kulturalnej i wykształcenia? Oto pytanie, na które chcemy odpowiedzieć w niniejszym artykule. Wykształcenie ludności miasta zależy od wielu różnych czynników. Łódź jest miastem, które — jak to się w języku socjologów powiada — stanowi „zbiornik społeczny otwartą”, rozwijającą się nie tylko na skutek przyrostu naturalnego, lecz również dzięki napływowi ludności z innych miejscowości: wsi, miast i miasteczek, o różnych tradycjach kulturalnych i niejednolitym poziomie wykształcenia.

Ludność Łodzi systematycznie zwiększa się dzięki trzem zjawiskom: 1. napływowi ludności z zewnątrz, 2. przyrostowi naturalnemu oraz 3. zmianom administracyjnym. Na uwagę zasługują szczególnie dwa pierwsze zjawiska, one bowiem decydują o przyszłości rze-

czywistym ludności miasta, o jego tradycjach kulturalnych i wykształceniu.

Niezmiernie interesujące są wyniki badań prowadzonych w styczniu — lutym 1958 r. Na przykładzie „próbki reprezentacyjnej” ludności Łodzi ustalono, że obecna dorosła ludność w przeważającej mierze składa się z ludności napływowej. Na ogólną liczbę mieszkańców powyżej 18 lat ludność napływowa wynosiła 59,71 proc., w czym ludność urodzona na wsi 34,35 proc., w małych miasteczkach — 10,04 proc., w miastach powiatowych — 9,51 proc., w miastach wojewódzkich — 5,81 proc. Pozostała ilość mieszkańców powyżej 18 lat — 40,29 proc. urodziła się w Łodzi; byli to więc jedyni rdzenni Łodzianie.

Największe zmiany w strukturze ludności Łodzi nastąpiły w czasie wojen. Według szacunkowych danych w okresie pierwszej wojny światowej ludność Łodzi zmniejszyła się o 232 tys., w okresie natomiast drugiej wojny światowej w granicach obecnej wielkiej Łodzi o 500 tys. Po wojnach nastąpił wzmocniony napływ ludności

z zewnątrz, szczególnie po drugiej wojnie, kiedy proces ten został spotęgowany przemianami politycznymi i społecznymi, jakie miały miejsce w kraju po wyzwoleniu.

Łódź, wielki wyłudniowy ośrodek wojny ośrodek przemysłu potrzebował ludzi do pracy w różnych dziedzinach. Na krótki okres Łódź stała się nawet przystanią dla ludności zburzonej Warszawy; niektórzy warszawiacy zamowili się w Łodzi na stałe. W przeważającej mierze napływa jednak do Łodzi ludność ze wsi.

W czasie badań socjologicznych, o których wspominaliśmy powyżej, uzyskano dane dotyczące stosunku procentowego ludności mieszkającej w Łodzi od przed wojny i nowozamieszkałej po wojnie. Z badań tych wynika, że w styczniu — lutym 1958 r. wśród dorosłej ludności miasta znajdowało się 64,33 proc. przedwojennych mieszkańców oraz 35,67 proc. ludzi, którzy zamieszkali w Łodzi po wojnie.

Czy poziom wykształcenia tak różnicowanej ludności miasta może być jednolity? Niewątpliwie nie. Dużo bowiem wśród tej ludności jest takich, którzy nie chodzą do szkoły, bądź chodzą do szkoły w różnych okresach historycznych i w różnych sro-

STRZYŻONO

GOLONO — STRZYŻONO

### ORDNUNG MUSS SEIN

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Bonn ogłosiło instrukcję dla straży ogólnych w sprawie gaszenia pożaru na terenie placówki dyplomatycznej. Według instrukcji, straż może obecnie przystąpić do akcji jedynie po uzyskaniu pisemnego zezwolenia szefa placówki.

### Z DUCHEM CZASU

Do niedawna hiszpańska „corrida” była dla księży katolickich surowo zakazana. Obecnie kancelaria prymasa Hiszpanii udzieliła pierwszej liczbie księży zezwolenia na wzięcie udziału w tegorocznych walkach byków.

### PRZEWODNIK

W USA wydany został specjalny przewodnik turystyczny dla dziewcząt. Znajduje się w nim mapa Stanów, na której kolorem czerwonym zaznaczono rejony, gdzie według ostatniego spisu ludności jest więcej mężczyzn niż kobiet, a kolorem niebieskim — rejony, gdzie mężczyźni mają dochody wyższe od średnich amerykańskich.

### ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Książek Liechtensteinu — Franciszek Józef II wygłosił niedawno orędzie do nowego parlamentu, w którego skład wchodzi 15 deputowanych. W orędziu książę poświęcił niemało miejsca kwestii odpowiedzialności za losy światowego pokoju, spoczywającej na mieszkańcach Liechtensteinu.

### KWESTIA SPORNA

Norweskie Ministerstwo Obrony wystąpiło ostatnio przeciwko noszeniu brody przez wojskowych, natomiast w sztabie generalnym i dowództwie naczelnym pogląd na ten temat nie został jeszcze ostatecznie sprecyzowany. Sporna ta kwestia ma być rozpatrzona przez komisję spraw wojskowych w norweskim parlamencie.

### KSIĄDZ-SPORTOWIEC

Ksiądz katolicki Matthew Twomey z Carck w Finlandii od szeregu już lat zajmu-

je się hodowlą i tresowaniem chartów biorących udział w tradycyjnych w Anglii wyszcigach psów. Również w roku bieżącym psy księdza Twomeya startować będą na wyszcigach londyńskich.

### WYSPA NA SPRZEDAŻ

Wyspa Ellis Island jeszcze do niedawna służyła jako miejsce przymusowego pobytu dla imigrantów, którzy nie dopełnili wszystkich formalności związanych z przybyciem do USA. Obecnie wyspa została przez rząd amerykański wystawiona na sprzedaż, lecz dotychczas żadnej z 12 złożonych ofert nie przyjęto ze względu na zbyt niską cenę.

### TAJNIKI PRAWA

We Francji w roku 1634 wydana została ustawa zabraniająca palenia tytoniu w miejscach publicznych i orzekająca za to przestępstwo odpowiednią karę więzienia. Komisja prawników francuskich stwierdziła niedawno, że ustawa ta nie została dotychczas uchylona, a zatem każdy obywatel może być ukarany za palenie tytoniu w publicznym miejscu.

### POMYLKA

Amatorska drużyna bokserka z Niemiec zachodnich, która przybyła do pewnego miasteczka irlandzkiego, by stoczyć mecz z miejscową reprezentacją, weszła na ring przy dźwiękach żołnierskiej piosenki „Auf der Heide blüht ein kleines Blümlein, und das heißt Erika...”. Znajdująca się na sali publiczności powstała z miejsca, biorąc żołnierską piosenkę za hymn narodowy NRF.

### DEKORACJA

Niedawno dowiedzieliśmy się o nowej operetkowej uroczystości, jaka miała miejsce w księstwie Monaco. Otóż książę Albert, który jeszcze nie ukończył dwóch miesięcy, synek Rainiera i Kelly, z okazji chrztu został udekorowany Wielkim Krzyżem Orderu Grimaldi. Warto przy okazji dodać, że zenujący jest zaiste szum, który zachodnia prasa czyni nieustannie wokół tych śmiesznych spraw księstwa Monaco.

— STRZYŻONO

GOLONO — STRZYŻONO

GOLONO — STRZYŻONO

GOLONO — STRZYŻONO



# ULICA PRZĘDZALNIANA

Tekst i zdjęcia:  
JANUSZ SKOSZKIEWICZ



Ulica Przędzalniana. Drewniane domki obok czynszowych kamienic — zabudowania tak charakterystyczne dla chaotycznej kapitalistycznej zabudowy Łodzi. Gazowe latarnie, wąskie chodniki.

Wracając ze szkoły można spotkać wiele interesujących rzeczy. Można nawet wychylić się nad samą wodę — zwłaszcza, że ogrodzenie już dawno połamało i nie przeszkadza dzieckom wpaść z ulicy wprost do stawu.



W sąsiedztwie zabudowań fabrycznych prześliczny pałacyk w parku. Dziś mieści się tu liceum telegraficzne.



W parku sąsiadującym z ulicą Przędzalnianą zapaleni szachiści rozgrywają partycjkę pod gołym niebem.



W pobliżu pałacyku rozciąga się piękny staw. Bawią się dzieci na Urzegu. W lecie nad staw ściągają wędkarzy...

Powyższą studzienkę fotograf nasz „uchwycił” w maju 1958 r. Nie jest to rekwizyt filmowy czy teatralny ze sztuki dziewiętnastowiecznej, ale „rzeczywistość” bardzo... aktualna i przykra...



Wiosna spóźniła się w tym roku, ale w ogródkach działkowych przy ulicy Przędzalnianej zaczyna się praca.



Pierwsze dni wiosny... Podwórka zaczynają nabierać „malowniczego” wyglądu.



JERZY WALEŃCZYK

### KRÓTKA RELACJA ZE SNÓW W ROSOSZE

A nocą, a nocą wołają psy  
I nie wie nikt, czy kradną konie,  
Czy pod oknami chodzi Zły.  
Niech nas Najświętsza Panna broni!  
Do lampy trzeba nafty nalać,  
Rozpalić ciemne wnętrze pieca.  
Zły się do ciemnych krów zaleca.  
Do lampy trzeba nafty nalać.  
Panu Janowi śnił się sen,  
Jak w piecu piekł trzy bochny chleba,  
A mokre szczapy płoną źle,  
Najświętsza Panno, grzechy przebacz.  
Pani Jadwidze śnił się sen,  
Jak piękną różę w suknię wpina  
Idąc na bal z młodzieżą Wilna.  
Pani Jadwidze śnił się sen.  
Najstarszej córce śnił się sen:  
Jak babka dziecko chłopom dała.  
Wróży na ścianie martwy cień  
I talia kart jest dla wsi cała.  
Najmłodszej także śnił się sen,  
Jak motyl siadł na ciemnym łonie  
Na między zbóż, w słoneczny dzień,  
Potem odleciał chabry goniąc.  
Mnie również, drodzy, śnił się sen,  
Małe mieszkanko gdzieś w Warszawie.  
A jeśli będzie ze mną źle,  
Tak jak Karpiński wrócę na wieś.

Jesienią 1957 roku uzyskałem I nagrodę na Festiwalu Młodej Poezji w Poznaniu za „Śpiew dla Rzeczypospolitej”. Stąd mam tylu wrogów i przyjaciół. Pierwsi sądzą, że mogę być niebezpieczny i robią co mogą, aby mnie skompromitować, drudzy mi zazdroszą i cieszą się z działalności pierwszych. I tak się toczy mój mały świat. Złożyłem w „Iskrach” drugi tomik wierszy. „Wino półstodkie” coraz mniej mi się podoba. Mam na warsztacie dramat. Czy go napiszę i kiedy nie wiem. Czuję się potwornie stary i zmęczony, mimo że mam 30 lat. Nie wierzę w skuteczność działania grup literackich, nie wierzę w skuteczność teoretyzowania. Moje credo poetyczne? Zbliżyć się do poezji narodowej i uczyć się współczesności od tych potentatów słowa, którzy zrozumieli, że nad-realizm i awangarda były tylko fazą przejściową.  
Kryteria! Sprawdzalność rygorów! Nowe widzenie! Marzenia osobiste? Małe mieszkanko gdzieś w Warszawie...

### BRODY

Takie brody noszono u nas przed pół wiekiem.  
W czarnych pelerynach smutni anarchiści,  
Których lubił Bakunin. To marynarze  
Wrócili z słodkich złudzeń i spienionych marzeń  
Po mgłę w środku młodzieńczej ekstazy.  
Naiwni synowie zrównoważonych.  
Na ich widok słabość ogarnia dziewczyny  
I wiele dać gotowe za twarz męstwem tchnącą  
A broda jest posiana wedle dyscypliny.  
W ciemny belkot owiani rówieśnikom tłumaczą,  
Ze hańbi nowoczesność, kto z brody odarty.  
Tak, tak. To moda tylko zmienia swoje warty.  
Ale i moda znaczy ponadto niż znaczy.  
Prokuratorze! Nie każ wieszać biedaków,  
Wiesz przecież lepiej niż ja: ten ród hardy,  
Gdy moda powieje, w rękę niosąc halabardy  
W krótkich spodenkach wyjdzie na ulice.

### POŻEGNANIE

Opuszczę cię, złe miasto. I w precyzji dni  
Miejsca dla ciebie braknie. Staroświeckie domy  
Będą w wiek dziewiętnasty ulicami szły  
Pod dłoń kariatydy. Modniejsze zobaczą  
I przybędę do stolic przekraczając bramy.  
O czym ci miasto marzyć? Tobie pozostają  
Płomyki lamp ściemniałych i latem rynsztoki.  
I adresu nikomu z Was nie pozostawię,  
Gdzieś, przy czarnej kawie wspomnieć mnie,  
Tragedii nie będzie. Niektórzy pochwalą  
To, co we wierszu im się podobało,  
Inni zganią, że ciemny nie był, że za mało  
Aluzji i metafor. A kiedy będziecie  
Na drugą kawę czekać, któraś z dziewcząt powie:  
„Widzę wiersze z błędami, lecz wierzę pocie“.

## NOWE WIERSZE



### STARA KOBIETA Z CHLEBEM

Z śródmieścia jadę tramwajem,  
Tramwaj grzechocze długo,  
Wiatr szarpie strzępami gazet,  
Starym biletem i deszczem.  
Oto godzina obiadu,  
Miejska, kulista, nęcąca,  
Na szybkie łydgi ciemne  
Nad ponurym rynsztokiem.  
Tramwaju moich przeznaczeń,  
Umarli, nienarodzeni,  
Wędrowko co znasz granicę,  
Słodczy, co znasz rozpacze.  
Wiatr waha się jak polityk  
Przed wielkim eksperymentem  
Między szaleństwem i mrokiem  
Jest małe życie poczęte.  
Będą staroświeckimi  
Najmodniejsze fryzury  
Pod rosą zielonych pajęczyn  
Uśmiech karminowany.  
Zgodnie z prawidłem czasu  
Pogardzę litością, którą  
Wiek dziewiętnasty poleca  
Jak domokrażca-handlarz  
Lusterka i grzebienie.  
Za szybą domki drewniane  
Posłuszne martwym dłoniom  
W oknach są pelargonie,  
Doniczki w różowej bibule.  
W kawiarni toczono dyskusję  
O pięknie funkcjonalizmu  
I wsparto przykładem z Zachodu.  
Najbardziej funkcjonalne  
Naprawdę są tutaj fabryki,  
Wśród nich przemija nasza  
Bez ornamentów młodość.  
Z śródmieścia jadę tramwajem,  
Tramwaj grzechocze długo  
Obok mnie stara kobieta  
Z bochenkiem przepołowionym.  
Spękany, brunatny, pachnący.  
A ona powoli wchodzi  
W ogród trwającej łaski.



Halina M. Dąbrowska

## Z księgi wspo

Zofia Nalkowska związana była od dawna z Łodzią. W swej jednej z pierwszych powieści „Książę” opisuje strajki i fermenty rewolucyjne w Łodzi w 1905 roku. W roku 1927 otrzymuje nagrodę miasta Łodzi. Wreszcie po wojnie i powstaniu osiada w naszym mieście na pobyt paru lat. Zofia Nalkowska i jej siostra Hanna mieszkają w Domu Literatów na ul. Mickiewicza 8 na II piętrze, aż do chwili gdy się przeniosły do Warszawy. Autorkę „Granicy” poznałam dawno. Odwiedzałam ją na wsi pod Wołominem. Opisuję tu jedną z pierwszych moich wizyt u pań Nalkowskich na Górkach — w „Domu nad łąkami”, bo taką nazwę literacką nadała Zofia Górkom.

Nadeszły lata, kiedy rzadko widywałam Zofię Nalkowską. Końcowe egzaminy muzyczne, wykłady literackie — zbierały mi czas.

Gdy znów któregoś roku przyjechałam na parę godzin na Górki — niewiele zastałam zmian. Biurko Zofii Nalkowskiej — zwyczajny stół — stało zwrócone bokiem do okna. Młody klon złotem wypełniał całe szyby. Na długich, wąskich paszkach Zofia pisała tekst wyraźnie, prawie kaligraficznie. Wiele razy ręcznie zmieniając, poprawiając utrwałała treść. Potrafiła osem wersję mieć tego samego rozdziału. Używała pióra — rondówki (wiecznych piór wówczas jeszcze nie było), atramentu liliowego, następnie już przez wiele lat — zielonego. Nie oddawała wydawcom oryginału przepisane na maszynie, tylko ręcznie i przez siebie samą. Nigdy do końca życia w procesie tworczym, w pierwszym rzucie pomysłu — nie używała maszyny.

Pokój Zofii był surowy bielonymi ścianami, pozostawionymi tak może przez piętnastu ojców Wacława Nalkowskiego. W tej prawie całej powstawały pełne ornamentyki stylu powieści Zofii, jak właśnie „Węże i róża”. Kontrast bibelotów słowa porównany z ubogą ramą rzeczywistego tu życia stawał się

znamienny. Przeciwwstawiała Zofia skromnym warunkom bytu marzenie: czar miłości — bez jej zrealizowania. Zofia zaczęła już wówczas pisać pierwsze „Charaktery”. Uwieczniała w nich przyjaciół. Kobiet bywających na Górkach nie mogły sobie przypomnieć, czy jakie wizytowały panie Nalkowskie. Chyba na imieninach pani Anny, tak beztrosko opisane w „Granicy”, jako goście pani Koliczowskiej. Z rodziny przebywała najczęściej w „Domu nad łąkami” siostra pani Anny Nalkowskiej, Wróblewska, zupełnie do matki Zofii nie podobna. Niewysoka, tęga, pełna wdzięku, uśmiechem i pobłażliwością, wychodziła wszystkim naprzeciw. Wada słuchu nie odbierała jej pogody. Zofia portretuje ją w „Domu kobiet”, jako życzliwą ludziom, naiwną Joannę. Z latami jedni znajomi odpadali, zamieniali się z nowymi. Mężczyzn jako tło, dekorum na wentach, w teatrze, na ulicy, nigdy nie brakło. Irzykowski dowcipkował, że jeśli kobieta nie może defilować z mężczyzną na smyczy, to przynajmniej

zastępuje go psem. Zofii nie brakło też i charta. Za tej mojej bytności u pań Nalkowskich, mimo, że zbliżała się wiosna — mróz trwał jeszcze surowy. Zima spędzona na wsi nie przedstawia się wesoło. Dom na Górkach, opisywany tak pięknie wiele razy przez Zofię, widziany realnie, był znacznie skromniejszy w rzeczywistości. Dojazd z Warszawy przez Pragę do Wołomina czy przystanku Kobyłka stawał się dość uciążliwy. Wyrzuconym się było wśród piaszczystej przestrzeni karłowatych zarośli, na drózkę prowadzące w górę do domu. Stał on wśród sosen, tynkowany na biało, pierwsze piętro miało małe balkoniki, ogrodzone deskami rżniętymi w deseń. Wejście prowadziło do wnętrza po paru schodkach z prawej strony. Na dole, po trza po paru schodkach z prawej strony. Na dole, po trza po paru schodkach z prawej strony. Na dole, po trza po paru schodkach z prawej strony.

Ściany bielone prostym, białym wapnem zaznaczały schludność. Obrazów niewiele, ale wszystkie w jakiś sposób cenne — portrety obu siostr, czy reprodukcje dobrych zagranicznych płócien.

W pokoju Zofii stał, wysunięty na środek, fortepian. Kolor miał brązowy, kształt wydłużony, świadczący, że powstał w epoce bliższej Chopinowi. Brzmienie jego wysokie i cienie przypominało trochę klawicymbał. Czas udzielił klawiszom już odcieniu złotego. Palce wygodnie wpadały na pewne wyżłobienia w kości słoniowej. Był miękki, aż za wrażliwy na każde dotknięcie. Grywałam na nim dużo i często, bywając u Zofii. Pod jej palcami drżał, był głosem — sprzeczny z liryzmem swego tonu. Pamiętam tę jedną wczesną wiosnę. Smutki mojej młodości, a może i radości, kazały mi przyjechać, ażeby zaznać ciepła przyjaźni. Śniegiem pokryte pola były miłsze moim oczom niż latem, kiedy zdradzały swe ubóstwo. Pod powiekami miałam jeszcze bujność innej ziemi.

Zdziwiłam się, że drzwi domu zastałam zamknięte. Ktoś mi wyjaśnił, że panie są na ślizgawce. U podnóża ogrodu woda łąk zakrzepła w tafle. Mrok nadawał jej barwę błękitną. Wśród rozległej pustki owego stawu krążyły trzy wysokie posta-

cie. Panie Nalkowskie hodelendrowały znakomicie. Były tu same, nie po to, żeby je kto podziwiał. Zofia w obcisłym kostiumie, w podłużnej czapeczce z woalką i z mufką utrzymywała się na ostrzu łyżwy, płynąc w dal. Trzy postacie matki i dwóch córek skupiały się i rozbiegały w różnych kierunkach. Niebo różowało od zachodu, potem gasło, a tańiec ciemnych postaci wciąż trwał. Nie przerywałam patrząc z góry na płynność gestów, otulając od mrozu kwiaty, które przywiozłam. Dopiero w domu okazało się, jak mi są radzi. Kwiat japońskiej wiśni, wiele gałęzi przywiezionych przeemnie, dużo sprawił tu radości.

W wazonie różowe różgi stały na fortepianie. Proszono mnie, żebym grała, przeważnie sonaty Mozarta, ale też i zbapalizowaną „Wiosnę” Griega. Zostałam wtedy na noc — małe pokoje na górze przeznaczone były dla gości, skromniejsze, ale jeszcze bardziej zaciszne. W pracowni Hanny Nalkowskiej znajdowało się

# ROBAK W MÓZGU

czyli o modzie i nowoczesności

MARIAN PIECHAL

Ujak to, panie dzieju, tak jest, a nie inaczej. A co względem tego robaka w mózgu, to jeżeli są robaki w żołądku, to dlaczego w mózgu miały być ich nie być? Owszem także są, a nawet nie śmiać się nie być. Znam wielu takich sobie i nie sobie ludzi, którzy już prawie wcale mózgu nie mają, tylko właśnie te owo wyżej rzeczony robaki. Oczywiście mówi się wtedy o nich, to znaczy o ludziach nie o robakach, że mają myszki lub kanarki w głowie, że w niej fijołki kwitną, albo że muchy im chodzą po mózgu — tak to się w sposób obrazowy mówi o nich, to znaczy o robakach, a nie o ludziach.

Alle wśród owych dopiero co rzeczonych robaków, podobnie jak i wśród ludzi, najczęściej jakiś jeden robak zaczyna się wybić, że tak powiem, na czoło innych, czyli nadawca główny akcent wszystkiemu temu, co się dzieje w głowie człowieka, jeżeli w ogóle coś się, panie dzieju, w niej dzieje. Jednym słowem ten główny i, że tak powiem, przewodni robak w mózgu decyduje o tym, że człowiek ma tak zwanego hyzia, ćwieka lub fioła.

Alle do czegoż ja, o rany, zdążam? Dalibóg, prawdę powiedziawszy, sam nie wiem, chociaż wtajemniczeni, tylko nie wiem, jak to najkrócej wyrazić? Słowem chodzi mi o sprawę mody i pojęcie nowoczesności. Chciałbym zaznaczyć, że nowoczesność nie jest przywilejem młodości. Zresztą dzisiaj czterdziestoletni byk uważa się jeszcze za młodego i nie wstydzisi się zaskoczyć. A nowoczesność, podobnie jak i młodość jest rzeczą względną.

Jawaharlal Nehru obecny premier Indii, mąż mądry i polityki roztropny, uczeń Gandhiego, człowiek niewątpliwie nowoczesny w myślach i czynkach, nie uważałby na przykład kombajnu, maszyny niewątpliwie nowoczesnej, za rzecz nowo-

czesną. W dolinie Gangesu, gdzie żyje około 3 tysięcy ludzi na kilometr kwadratowy i gdzie ten kombajn pozabawiliby pracy kilkuset co najmniej ludzi — to jego nowoczesność nie ma najmniejszego sensu. Tak to nowoczesność musi stać w jakimś stosunku do człowieka — inaczej staje się fetyszem czyli robakiem w mózgu tych, którzy się nią bezkrytycznie zachwycają.

Jeżeli ktoś powiada, że coś jest nowoczesne, bo jest modne na Zachodzie, a nie zdaje się sobie sprawy z tego, w jakim to stosunku stoi do naszych w kraju potrzeb i naszego życia, to ten ktoś jest bezkrytycznym fetyszystą z niewątpliwym robakiem we łbie. I w tym wypadku podział ludzi na młodych i starych, na odczuwających i nie odczuwających nowoczesność jest absurdem. W tym zastosowaniu teorii kłębów pokoleńowych różnie odczuwających, to wybieg, maskujący oszustwo. Młody facet twierdzi, że nie może nawiązać uczuciowego kontaktu z wierszami, dajmy na to, Jastruna lub Przybosia, bo to inny krąg pokoleńowy, ale bardzo snobistycznie zgłasza swoje rzekome powinowactwo i wspólnotę z utworami Eliota lub Audena, którzy są starsi od Jastruna i Przybosia co najmniej o 20 lat. Tu nie ma problemu pokoleńowego. Triumfuje w pełni snobizm paragonu z zagranicznymi sławami, co jest zresztą czystą mistyfikacją, bo okazuje się, że facet po prostu i najczęściej nie zna ich dzieł w oryginale. Tak to, panie dzieju, tak jest, a nie inaczej.

A propos mianowicie czego pozwałam ci ja sobie mówić o tym wszystkim, mój ty milsi i czcigodny Czytelniku, a zwłaszcza nadobna Czytelniczko, cała w tych dniach majowych niby nabrzmiała pęcerek na gałgące zapodana, że tak powiem, ku rozwikłowaniu z czymś modnym, a nowoczesnym? Czy dlatego to mówię, żeby starymi arcydziełami gasić modę i nowoczesność? Nie

dlatego, tylko dla czego innego, a mianowicie dlatego, żeby ta moda i ta nowoczesność była rzeczywiście modną i nowoczesną z istoty swojej, to znaczy z własnego swojego i swoistej swoistego porwy i pomysłu, a nie nędzną powtórką i żeńującą imitacją cudzego naśladownictwa, ni przypałał ni przyłatał do naszych swoistej swoistych spraw i potrzeb najpotrzebniejszych. Weźmy choćby tych tazytstów i tego iście dla mnie swoistej swoistej „Piątego Kola”. Czy to, co on głosi, a zwłaszcza robi, nie jest powtórką i tylko imitacją i jedynie dolewaniem wody do już gdzieś indziej dolanej a nawet przelanej dawno wody w tym samym naczyńku? Czyż nie jest rozpalałem u nas tego ognia, który gdzieś indziej już gasnie? Owszem, jest to może moda, ale nie nowoczesność, bo moda nie nowa czyli nie nowoczesna. Toć całkiem co innego było, na ten i temu podobny przykład per analogiam, z Władystawem Strzeżińskim. On był w kontakcie z modą i nowoczesnością zagraniczną, był jak się to mówi au courant wszystkich ich sensacyjek i propozycyjek, ale ich nie imitował, nie przeschczepiał na grunt rodzimy, tylko wprost przeciwnie z gruntu rodzimego, własnego, swoistego w oparciu o doświadczenia cudze i ostrzeżony przez nie, czego już robić czyli powtarzać nie można i nie trzeba, wyprowadzał rodzimą, własną swoją i swoistą swoistą sztukę, jej temat, problematykę i koncepcję. I to była ta moda i ta nowoczesność, którą on proponował i przynosił światu, a nie odbierał i przynosił ze świata, to była ta propozycja, którą on bogacił świat, a nie ubożył siebie, przejmując ją od świata czyli że modna nowoczesność i nowoczesna moda jego sztuki nie była li tylko robakiem w jego mózgu. Oczy moje ziemskie i śmiertelne na niejedno patrzyły w życiu dzieło sztuki tak doskonałe, że aż nieziemskie i nieśmiertelne. Na niejedno patrzyły dzieło sztuki w niejednym muzeum i na niejednej wystawie we Włoszech, Francji, Szwajcarii, Austrii i na Węgrzech i, przynajmniej, że tam właśnie nabrały, że tak powiem, pojęcia o tym, co to jest właściwie moda i czym jest ona różni od nowoczesności, podobnie jak imitacja od arcydzieła. Tak ci to, panie dzieju, tak jest, a nie inaczej, amen!

gorsząca — w całkowitej obojętności dla tego, kto mu przysmak daje. W rogu jadłalni, na drażku przytwierdzonym ukośnie między dwoma ścianami siedziała Wunia, czyli sowa. Patrzyła uważnie, rzadko kiedy się odzywała, ale czasem, gdy się jej coś bardzo nie podobalo, podnosiła głos. Była popielata, dość wysoka, puszysta jak kłębek puchu. Jadła mięso, sposobem papug przesuwała się po drażku nie odrywając zacięniętych palców. Kochała Hanię, łaskawa była dla Zofii. Panią Annę pomijała, nie śmiejąc być jej wroga.

Czy z tej bytności poznałam małego zajacę o wiecznie ruchliwym nosku i uszach, nieszkodliwego w skrzący — nie pamiętam. Wiem tylko, że wszystkie nas ogromnie zajmował motyle wyległy z poczwarki na ten zawczesny dla niego czas.

Rozstając się ze zwierzętami, po wieczornej herbacie, spędziłam długie godziny u Zofii. Stuchałam, słuchałam... Czy śmiałam sama coś mówić? — Raczej nie...  
H. M. DĄBROWLSKA

Stare, pożółkłe już pergaminowe dokumenty mówią nam, że w czasach, kiedy „Łódź wiele czystych wód miała... dokola jak olcem sięgnąć ze stokowskich wzgórz — rozciągała się puszca łódzka. Stanowiła niezrozważalną całość z lasami Łagiewnik aż po Rzgów i Borytuszyńskie.

Kto i kiedy założył starą wieś Łódź zwaną (łac. Lodza) — historia nie mówi. Musiało to jednak nastąpić w końcu XIII w.

Pierwsza wzmianka o istnieniu Łodzi jako wsi — pochodzi z r. 1332.

Stary lineoryt A. Sztyrowskiego wyobraża nam „Łódź dni tamtych...”. Twierdzą i znojna walka chłopa łódzkiego o jałową ziemię. Siekiera i radło to pierwsze narzędzia produkcyjne łodzian. Stare drzewo, olchy, topole, grabie — walały się ustępując miejsca polom ornym i pastwiskom.

Po diugetliwym poddaństwie u książąt łeczyckich, chłop łódzcy zostali „odani po wieczne czasy” biskupom kujawskim. Wieś łódzka włączono do dekanatu woborskiego.

Dobrze rozwinięta i szybko zagospodarowana wieś urosła z rąk biskupów w r. 1387 prawo średzkie, które przenosiło Łódź na wyższy stopień gospodarki i pewnego już samorządu — otrzymała bowiem sołectwo. Pierwszym sołtysem łódzkim był chłop przezwisłkim Janusz.



**WIDOKI  
DAWNEJ ŁODZI**

Nazwa rzeki nad którą leżała wioska, w różnych czasach, różne nosiła określenia: Stara Rzeczka, Starowiejska Struga, by już w I-szej poł. XIX w. wystąpić jako Łódzka. Wioska rozsiadła się na

południowym brzegu tej rzeki. Dziś, są to tereny ZPB im. Harnama, zakładu browarnego, parku helenowskiego, aż po Kusy Kąt w stronę Dołowa.  
ZDZISŁAW KONICKI

Łódź przed 550 laty

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

# ROZMAITOŚCI STAROPOLSKIE czyli NOC JEZUITÓW

W ten felieton będzie mąkabryczny. Przygotujcie się, Szanowni Czytelnicy, na okropności, od których krew w żyłach się ścina. Objawy fanatyzmu religijnego w Polsce mają swą długą historię, nieodłącznie powtarzające się u nas dziś jeszcze zająca w rodzaju tych, jakie miały miejsce w Żurominie, powstany był ostrzeżeniem dla pastepowej części opinii publicznej.

Uwagę uczonych badaczy socjologów zaprzętało od dawna zagadnienie, jakie jest znaczenie i rola wybitnej jednostki w ruchach masowych? A więc, na przykład, czy wywołanie namiętności religijnej rodzą się samorzutnie w masach wernych Kościołowi rzymskokatolickiemu, czy też są one wynikiem zręcznej agitacji lub politycznych posunięć wybitnych jednostek?

Na przełomie XVI i XVII wieku w Polsce za panowania „króla Jezuitów” Zygmunta III Wazy (zwanego też polskim Filipem II) walczyły ze sobą dwa obozy: „regaliści” (związani z arcyksiężem Habsburgami i potężnym Towarzystwem Jezusowym) oraz „politycy” (walczący o tolerancję dla różniewierców) pod przewodem wielkiego meza stanu kanclerza Jana Zymojskiego.

W miastach i miasteczkach zaczęły wybuchać tzw. „tumulty” czyli zaburzenia religijne. Po raz pierwszy w 1551 roku żyacy krakowscy rzucili się na pogrzeb innowierczy. W 1568 roku idąca do ślubu narzeczona nie chcąc zgodzić się na ślub ewangelicki uciekła do kościoła katolickiego. Tłum „ziemniaków” zasypał gradem kamieni szlachtę innowierczą. Wielu pospadało z koni.

Dla zabezpieczenia się przed tumultami różniewierczy zdolali przeprowadzić uchwalenie ustawy o tolerancji religijnej, zwanej „konfederacją warszawską” z 1573 r. Ale niewiele im to pomogło! Tumulty powstawały się. Jednym z ważniej-

szych był atak „swawolników” (dziś powiedzielibyśmy — chuliganów) na zbor ewangelicki w Krakowie w kamienicy, którą z powodu oryginalnego kształtu architektonicznego (stożkowatego dachu) zwano Brógiem. Bróg atakowano w ciągu paru lat trzykrotnie. Wreszcie po ostatnim dwudniowym szturmie do „heretyckiej twierdzy” spustoszone całe wnętrza, a śpiewniki i księgi luterskie ułożono na stosie na Ryńku i podpalono przy śpiewie... Te Deum laudamus! (Rzeszów im się kłania!)

Słynny kardynał Hozysz radował się niepomiernie z tego zburzenia „synagogi szatana”, ludzie uczelni oburzali się, ale dochodzenia sądowe nie dały żadnego rezultatu. Zaalarmowany wypadkami krakowskimi Zygmunt III Waza nie przyjął gońca z hłobową wieścią, gdyż nie chciał sobie przezywać... gry w piłkę (takiego siedemnastowiecznego tenisa, którego ku zgorszeniu szlachty był namiętnym zwolennikiem).

Od tego pamiętnego zdarzenia nienawiść wyznaniowa tłumów zaczyna przybierać patologiczne formy barbarzyństwa i zdżeczenia. Sfanatyzowany motloch rzucał się na cmentarze ewangelickie, wydobywał zwłoki, odzierał z szat, stawił je pod murem do góry nogami. Jak podaje naukowiec łódzki Zbigniew Kuchowicz w niedawno wydanej arcykławej pracy „Z dziejów obyczajów polskich” w 1607 roku nastąpił „istny szal mśczeni, obalano nagrobki i rozkopywano groby, dobywano zwłoki, bito je, obnażano, rozrywano, włóczono po polach...” „Obroncy wiary” kładli obnażone trupy mężczyzny na obnażone zwłoki kobiet i wołali: „Rośnijcie i mnożcie się!” W oktawę Bożego Ciała tłum krakowski dokonał napadu na pogrzeb innowierczy. Wyrzucono z trumny „heretyckie” ciało zmarłej, obnażono je i włóczęg na sznurach po ulicy zaciągnięto do Wisły i utopiono.

Szczególnie złośliwym religijny młodzieży dochodziło do zwyrodnienia. Innowier-

cy musieli się opłacać zakładem, żeby móc spokojnie pogrzebać swych zmarłych. Pewna mieszcanka krakowska wsadziwszy zwłoki meza do beczki wywoziła je jako towar za miasto na cmentarz i pochowała. Studenci, którzy się o tym dowiedzieli, zaatakowali mieszkanke w poszukiwaniu trupa i dopiero po otrzymaniu okupu w sumie stu złotych zostawił wdowę w spokoju.

Nie da się wyliczyć na tym miejscu wszystkich tumultów, które zdarzyły się w Krakowie, Poznaniu, Toruniu, Wilnie.

Alle coż na to wszystkim złotousty kaznodzieja ksiądz Piotr Skarga? Wielki jezuita pisał o tumulecie krakowskiej: „To napoly cudowne zboru obalenie... zeslane zostało przez Pana Boga, który chce, aby ewangelicy po tej swej małej raneczce wielką ranę, jaka została zadana katolikom przez herezję, poznali i nawrócili się”. W tym samym duchu utrzymana jest broszura naszego wojowniczego kaznodziei pod tytułem „Proces na konfederację” pobudzająca do wojny domowej przeciwko innowiercom. Nie dziwnego, że w Poznaniu ojciec jezuita Piasecki w kazaniu wygłoszonym z ambony nawoływał jawnie: „Nie chce magistrat, nie chce rada miejska, ty tedy, kotołowiek jestes z ludu puść z dymem i w popiół zamień wszystkie bóżnice heretyków!”

Alle szczytem działalności politycznej znakomitego pisarza i mówcy ksiądz Skarga! jest pewna noc kwietniowa 1606 roku na dzień przed zakończeniem sesji sejmowej. Po długich sporach postawie oraz senatorzy (wraz z biskupami) doszli do zgody co do ostatecznej redakcji ustawy przeciwko tumultom. I oto pobożny Zygmunt III ślepcząc nad przedłożonym mu do podpisu tekstem, późną nocą na Zamku warszawskim bije się z myślami, czy będzie w zgodzie z sumie-

(Dokończenie na str. 61)

# mnień

wiele jej rzezb. Uśmiechała się siedząca na stoliku „Helenka”, z świetnie uchwyconym zaaranżowaniem wieśniaczkę. Obok stała nieduża „Ewa” patynowana na kość. Pare głów męskich, popiersie Montwilli, Lukasińskiego i dużo zaczętych prac — a w rogu monumentalna postać rzeźwa w zbroi. Ten, zdawałoby się, banalny temat — został tu rozwiązany odważnymi płaszczynami. Była to rzeźba w gipsie „Bojownik”, która dostała pierwszą nagrodę na ogólnym polskim konkursie, a później wykuta w kamieniu stanęła na grobie Wacława Nałkowskiego.

Włotka i wysoka Hania Nałkowska chodziła wśród tych postaci w białym fartuchu, z dłońmi pełnymi miękkiej, żółtej gliny. Aż budziło zdumienie, że te duże rzeźby mogły powstać przez nią zrobione.

Wtedy na Górkach „Husia” potrafiła zaśmiać się z byle czego. Najczęściej powodów dostarczał „stary egolista, bez żadnej ambicji” — jeź. Chodził po pokoju, stukając głośno łapami i zatrzymując się przed każdym, kto dawał mu jabłko. Interesowność jego była

# Żywe cmentarzyska

**PYTANIE:** Wokół rocznicy tysiąclecia Polski nagromadziło się sporo niejasności i nieporozumień. Jak ta sprawa przedstawia się naprawdę? Jedni sądzą, że powstanie naszego państwa trzeba liczyć od 966 roku tj. od momentu przyjęcia chrześcijaństwa, inni zaś twierdzą, że Polska jako państwowość powstała na długo przed przyjęciem chrześcijaństwa i że wobec tego rocznica „mille-nium” już dawno minęła.

**ODPOWIEDZ:** Sprawa nie jest prosta. W grę wchodzi bowiem dwa pojęcia: Państwo Polskie i organizmy państwowe na ziemiach polskich. Z jednej strony mamy wszelkie podstawy, aby sądzić, że na ziemiach polskich istniały organizmy państwowe poprzedzające ponadplemienne państwo polskie, państwo piastowskie. Istniały z pewnością państwa plemienne takie jak: Polan, Wiślan i inne. Po państewku Wiślan pozostały nawet pewne ślady w źródłach pisanych z drugiej połowy IX wieku.

Ponadplemienne państwo piastowskie, obejmujące cały szereg polskich plemion — rozwinęło się jednak w ciągu X-tego wieku. Ośrodkiem krystalizacji było państwo Polan z głównymi gradami w Poznaniu i Gnieźnie. Nie ulega wątpliwości, że proces krystalizacji toczył się na długo przed przyjęciem chrześcijaństwa, ale jakiejś konkretnej daty ustalić nie można. Dlatego określono ją w przybliżeniu — na lata około 960 roku, które hipotetycznie łączą się z początkiem panowania Mieszka I. Przyjęcie chrześcijaństwa było więc jakby zakończeniem jednego z zasadniczych etapów powstawania państwowości wczesnofeudalnej Polski.

Badania nad początkami państwa polskiego zapoczątkowano już w 1948 roku. Obecnie ulegają one ponownemu ożywieniu.

w Gdańsku. Po powstaniu Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN i po stworzeniu w Łodzi zakładu tego Instytutu — ekspedycje przybrały postać Stacji Archeologicznych w Gdańsku i w Łęczycy.

**PYTANIE:** Pan, o ile wiem, kieruje Stacją Archeologiczną w Łęczycy. O badaniach w Gdańsku sporo już pisano. Myślę, że dla naszego czytelnika najbardziej interesujące będą wiadomości o badaniach w ziemi łódzkiej, a ściślej, w ziemi łęczycy.

**ODPOWIEDZ:** Wyniki prac ekspedycji archeologicznej w Gdańsku mają ogromne znaczenie dla znajomości kultury polskiego wczesnego średniowiecza, znaczenie nawet w skali międzynarodowej. Jeśli zaś chodzi o stację Archeologiczną w Łęczycy, to zasadniczym problemem, który postawiliśmy sobie — było ustalenie dziejów powstania w Łęczycy osady miejskiej — a to dlatego, że zagadnienie urbanizacji Polski jest jednym z czołowych problemów badawczych wysuniętych w toku prac nad początkami państwa polskiego.

Pierwotne nasze prace archeologiczne w Łęczycy koncentrowały się na grodzisku koło wsi Tum, potem rozprzestrzeniły się one i na dzisiejsze miasto Łęczycę i na teren wsi Tum, ze szczególnym uwzględnieniem starej romańskiej kolegiaty tumskiej.

Najbardziej może efektywnym odkryciem naukowym dokonanym w ciągu tych badań — było odświeżenie we wnętrzu tej XII-wiecznej kolegiaty — całego zarysu fundamentów dawnego opactwa Benedyktów. Opactwo to, związane z pierwszymi latami państwowości polskiej, nosiło wezwanie Panny Marii, i powstało najprawdopodobniej na początku XI wieku. Dla badań nad tym obiektem zmobilizowano nie tylko ar-

## NA NASZE PYTANIA odpowiada doc. dr ANDRZEJ NADOLSKI

metrów. Budynek opactwa mieścił w sobie kaplicę i pomieszczenia mieszkalne. Konwent mógł się składać zaledwie z kilku mnichów których — być może — sprowadził do Polski św. Wojciech. Pierwszym opatem został prawdopodobnie Astryk Anastazy, a właściwym fundatorem był zapewne Bolesław Chrobry. Opactwo uposażono w bardzo wiele wsi, nawet w cztery jeziora na Kujawach, w Winnicy itd. Badania nasze pozwalają sądzić że Klasztor Łęczycy miał kontakty z bardzo nawet odległymi stronami, a mianowicie z Nadrenią i Flandrią. Okręg nadreńsko-lotaryński, był, jak wiadomo, w epoce w stosunku do niemieckich cesarzy dynastii saskiej.

**PYTANIE:** Innymi słowy, związki te miały chyba także charakter polityczny?

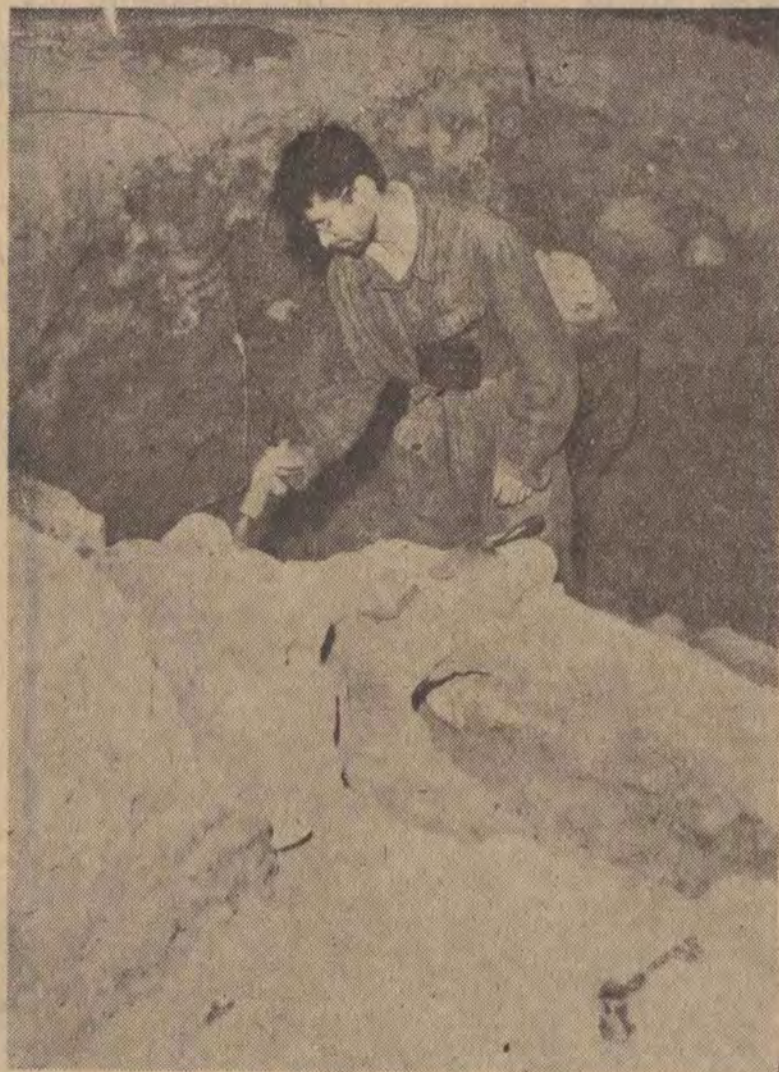
**ODPOWIEDZ:** Jest to zupełnie prawdopodobne, zwłaszcza w świetle całokształtu antytemieckiej polityki Bolesława Chrobrego.

Opactwo Łęczycy skasowano już w końcu XI stulecia. Na jego gruzach zbudowano w połowie XII wieku kolegiatę romańską, która dotrwała do naszych czasów.

**PYTANIE:** A inne odkrycia?

**ODPOWIEDZ:** Poza samą Łęczycę interesuje nas i cała Ziemia Łęczycycka. Najważniejszym dotychczas rezultatem tych naszych zainteresowań jest rozkopanie dużego i bardzo ciekawego cmentarzyska w Lutomińsku pod Łodzią. Pocho-dzi ono z początku XI w. Można zresztą śmiało stwierdzić, że prace całego zespołu łódzkich archeologów wniosły nie mało do naszej wiedzy o początkach państwa polskiego i o dziejach jego początkowego rozwoju. Przede wszystkim wkład ten obejmuje trzy sprawy:

- 1) Poznanie Kultury materialnej ludności Ziemi Łęczycyckiej i Gdańska we wczesnym średniowieczu.
- 2) Poznanie procesów urbanizacji na tych terenach.
- 3) Dorzucenie nowych przyczynków do dziejów organizacji ko-



Oto odkryte fundamenty benedyktyńskiego opactwa.

cielnej na terenie Polski i do naszej wiedzy o zróżnicowaniu klasowym i społecznym ówczesnej ludności Polski środkowej i Pomorza Gdańskiego.

**PYTANIE:** Jakie są plany na przyszłość łódzkich archeologów w sprawach związanych z „mille-nium”?

**ODPOWIEDZ:** Za swój zasadniczy cel uważamy doprowadzenie do podsumowującej syntezy dotychczasowych wyników naszych badań. Pełna publikacja naszych prac na cmentarzysku w Lutomińsku jest w tej chwili w druku. Wyniki badań w Łęczycy częściowo już opublikowaliśmy, częściowo są w stadium opracowywania, bo do ich ostatecznego zakończenia brakuje nam jeszcze minimum dwóch letnich kampanii wykopaliskowych. Badania w Gdańsku potrwają jeszcze dłużej.

Poza tym, do badań związanych z „mille-nium” zaliczyć trzeba prace prowadzone na terenie woj. łódzkiego przez Katedrę Archeologiczną i Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi.

Katedra Arch. Pol. pragnie w b. roku rozpocząć badania nad ciągłością osadnictwa pierwotnego w dolinie rzeki Ner w rejonie Lutomińska, który jest jakby jednym wielkim stanowiskiem archeologicznym, natomiast Muzeum będzie kontynuować prace nad poszerzeniem naszej wiedzy o średniowiecznym osadnictwie Ziemi Sieradzkiej.

W związku z „mille-nium” — które trwać będzie w latach 1960—65 archeolodzy łódzcy zorganizują wielką wystawę podsumowującą wyniki badań naukowych z tego zakresu. Projektuje się również szereg wydawnictw związanych z tym zagadnieniem. Komitet obchodu „mille-nium” kładzie także nacisk na takie zagadnienie, jak rozbudowa łódzkiego Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego które, w obecnej chwili, ze względu na swą ciasnotę, stoi już u granic możliwości kontynuowania pracy. Są także starania o stworzenie w Łodzi Wydawnictwa Naukowego, od dawna zresztą projektowanego.



W romańskiej kolegiacie w Tumie zaczęto odkrywać fundamenty benedyktyńskiego opactwa.

**PYTANIE:** Jaki jest wkład łódzkich archeologów w akcję „mille-nium”?

**ODPOWIEDZ:** Łódzcy archeolodzy od samego początku brali intensywny udział w akcji „mille-nium”. Wyraziło się to przede wszystkim w zorganizowaniu jeszcze w 1948 r. dwóch dużych ekspedycji naukowych — w Łęczycy i

cheologów, ale i architektów z Politechniki Warszawskiej.

**PYTANIE:** Na czym polega tak duże znaczenie dokonanego odkrycia?

**ODPOWIEDZ:** W Polsce istnieje bardzo niewiele murowanych obiektów czy nawet pozostałości takich obiektów z XI wieku, a prawie wcale nie zna się pozostałości obiektów klasztornych. Jest to więc rzeczywiście dosyć poważne odkrycie. Opactwo benedyktyńskie, a raczej jego odkryte fundamenty, przedstawiają wydłużony prostokąt długości około 21 metrów, a szerokości około 7—9

## CZESŁAW ZAWADZKI

# Z muzyką pod strzechy



**N**a rok bieżący przypada mała rocznica wielkiego wynalazku w dziedzinie kultury: mija 10 lat od ukazania się na rynku płyt mikrorolkowych czyli długogrających. Często w życiu bywa, że drobny epizod staje się brzemienne w konsekwencje. Jabłko, które spadło na głowę wycieczającego pod drzewem Newtona naprowadziło wielkiego fizyka na myśl, rezultatem których było odkrycie prawa grawitacji.

Podobnie miała się rzecz z wynalazkiem, którego dziesięciolecie właśnie obchodzimy. Dr Goldmarck, kierownik doświadczalnego laboratorium wytwórni płyt „Columbia”, odpoczywając w sobotnie popołudnie 21 czerwca 1941 roku słuchał z płyt koncertu fortepianowego E-dur Brahmsa. Zirykował go nieustannie przerywanie pięknego koncertu spowodowane koniecznością zmiany płyt. Właśnie owo „weekendowe” zdenerwowanie stało się przyczyną wynalazku. Po licznych pracach i doświadczeniach w tym kierunku udało się wreszcie Goldmarckowi wyprodukować płytę o znacznie mniejszych rowkach, na której można było zmieścić w całości dłuższe utwory muzyczne. Była to płyta nazwana „Long playing” czyli długogrająca albo inaczej mikrorow-

kowa. Czas grania płyty osiągnął 22,5 minuty, a tempo standardowe ustalone zostało na 33 1/2 obroty w ciągu minuty, zamiast dotychczasowych 78.

Nastąpiła prawdziwa rewolucja w przemyśle muzycznym i oczywiście w dziedzinie kultury. Wszystkie gramofony świata stały się nieużyteczne wobec tego wynalazku. Wynalazek „chwycił” z miejsca i rozpowszechnił się w świecie. Doniosłość jego dla kultury społecznej polega na tym, że możemy słuchać największych dzieł muzycznych w najznakomitszych wykonaniach odtwarzanych daleko wierniej niż było możliwe na konwencjonalnych płytach, a oprócz tego nie musimy przerywać koncertu w krótkich odstępach czasu, co tak zasadniczo psuje nastój. Nad radem — płyta długogrająca ma tę przewagę, że można usłyszeć co się chce i kiedy się chce, a poza tym audycja taka jest wolna od zniekształceń jakie nieraz powodują zakłócenia przy odbiorze radiowym.

Płyta długogrająca — to dawna orkiestra utrzymywana na magnetycznych dworach, która weszła pod strzechy. Jakże wspaniałą rzeczą dla człowieka kultury rzuconego w odległe zakamarki prowincji — jest możliwość gromadzenia u siebie arcydzieł muzycznych, dramatycznych czy literackich. Te mo-

żliwości stwarza właśnie płyta długogrająca.

Ileż to radości daje człowiekowi w długie, jesienne wieczory układanie dla siebie „programów” koncertu. Niestety, nasza rodzima produkcja płyt długogrających czapie w ogonie. Polityka repertuarowa przedsiębiorstwa „Polskie Nagrania” zaprzecza wszelkim pojęciom o logice i wszelkim zasadom komercyjnym. Gdyby ktoś w warunkach kapitalistycznych chciał spowodować szybkie bankructwo fabryki płyt, musiałby prowadzić politykę identyczną do tej jaką prowadzi dyrekcja „Polskich Nagrań”. Zjemy, wprowadzić w inny układzie społecznym, ale przecież hasło „rentowność przedsiębiorstwa” wierce nasze uszy nie gorzej niż kiepskie, a raczej polskie nagrania. Złorzeczenia na naszą produkcję płyt w mowie i w piśmie — są powszechne. Podobno nawet zmieniła się dyrekcja wytwórni. Coż nam z tego, kiedy nie zmienia się sama wytwórnia. Widocznie rządzi nią jakieś wyższe niezmiennie prawa, które nie pozwalają przejść produkcji ani w ilość, ani w jakość. Najbardziej irytującym jest fakt, że przecież mamy co nagrywać i przez kogo. Nie

(Dokończenie na str. 9)



— 19 —



## Streszczenie:

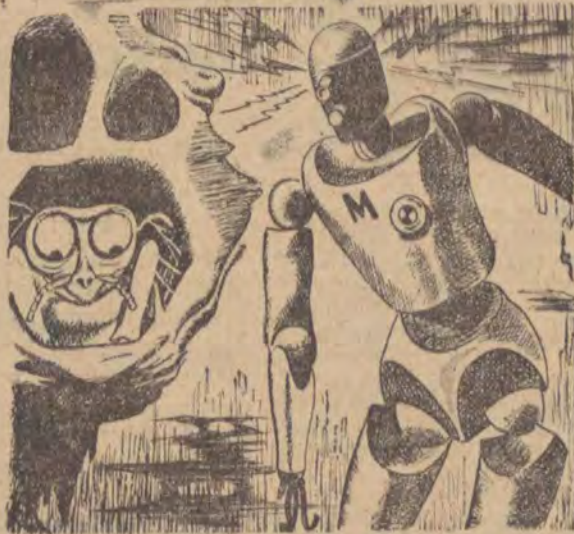
Niespożyta w swej dociekliwości ludzkość wysłała na Marsa 18 wypraw, z których żadna nie powróciła. Jak mówi tajemnicza depesza — uczestnicy wypraw międzyplanetarnych ginęli z ręki jakiejś nikomu nieznannej demonicznej kobiety. Po trzydziestu latach od chwili wystąpienia pierwszej rakiety, wyruszyła na Marsa 19 rakietą.

Po długiej podróży ekspedycja zatrzymuje się na Deimosie, satelicie Marsa, gdzie odnajduje grobowiec... pszczoły.

Doktor Freyd dokonał następnie sekcji i stwierdził, że mózg tego owada waży o 1000 gramów więcej od przeciętnego mózgu ludzkiego. Musiał więc to być owad o niebywalej wprost inteligencji. Zwraca uwagę pięć par łap, nadzwyczaj wykształconych i rozwiniętych. Prawdopodobnie służyły one nie tylko do poruszania, ale i do wszelkiej precyzyjnej pracy. Podwójne skrzydła, mocne, zapewne do lotu wystarczające. Owad posiada znamiona płciowe. Jest to samica. Najwidoczniej więc — królowa. Ma rurkę do zbierania nektaru. Natomiast żądła nie ma. Reszta organów, o ile można stwierdzić, normalna. Krwioobieg, system oddechowy, trawienny i nerwowy — jak u owadów, oczywiście owadów bardzo dużych, w naszych warunkach nieznanych.

Ciekawy jeszcze jeden szczegół, który świadczy o tym, że jeśli to są owady, to zupełnie innego typu, niż znane u nas. Prawdopodobnie w celach mumifikacyjnych, a może rytualnych, cały owad jest owinięty bardzo do-

— 20 —



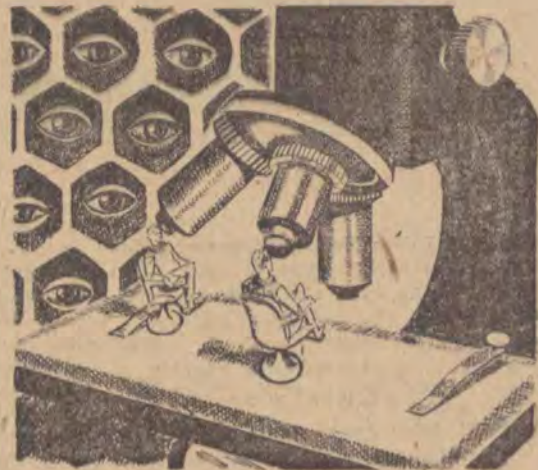
kładnie cienką, złotą nitką. Oczy ma wyjęte i w zamian włożone dwa dość duże brylanty czystej wody, pięknie szlifowane. Fakt ten nasuwa myśl, że istota ta musiała być jakąś ważną osobistością. Pochowano ją tu oddzielnie, daleko na księżycu, spowito w złotą nitkę i wstawiono brylantowe oczy. Była to więc zapewne królowa całego Marsa.

Sądząc z różnych szczegółów, (na przykład wosk zupełnie skamieniały) owad ten został pochowany bardzo dawno, być może nawet przed milionem lat. Przeszukajmy szczegółowo wszystkie zakamarki Deimosy. Może takich mumii znajdzie się tutaj więcej.

Nie ulega wątpliwości, że owad ten, to rodowita Marsjanka. Zaczynamy przypuszczać, że stara cywilizacja Marsa była czysto owadzia. Musiała ona wytworzyć specyficzne, na pewno niezwykle ciekawe formy bytu. Cywilizacja ta nie ma nic wspólnego z naszą — ludzką. Cóż możemy wiedzieć o mądrych, wysoko zorganizowanych owadach? Ale to nie te martwe owady niszczyły nasze ekspedycje. Jutro wysłamy nasze kosmonetki Agę I i Agę II na lot zwiadowczy nad Marsem.

Dzisiaj z rana powróciły nasze dwie kosmonetki Agę I i Agę II z lotu zwiadowczego nad Marsem. W ciągu całego tygodnia nie zajmowały się niczym innym, jak tylko mierzaniem, ważeniem, wachaniem, słuchaniem, smakowaniem, kopaniem, próbowaniem, fotografowaniem i filmowaniem. Ludzi w aparatach nie było, bo admirał nie zgadza się na najmniejsze ryzyko. W zamian wysłaliśmy nasze znakomite automaty typu „Magot”. Są one jakby zbiorowiskiem zmysłów ludzkich, tylko niezwykle wyostrzonych i wysubtelniczonych. Ich oczy składające się z rejestrujących soczewek i fotoko-

— 21 —



mórek — widzą, zauważają, fotografują, odnotowują — wszystko, przy czym siła światła nie gra żadnej roli. Tak samo sobie dobrze dają radę w najśilniejszym świetle, jak i w absolutnej ciemności. Ich uszy — precyzyjne mikrofony elektronowe — słyszą wszystko: nie umknę przed nimi najdrobniejszy szmer, posłyszają i odczują każde drgnienie, najślabszy powiew. Czują każdy zapach, reagują na każdą zmianę temperatury.

„Magoty” nazbierały dużo różnych próbek oraz załadowały osiem nowych mumii owadzi, a Agę I to wszystko przywoziły.

Wszyscy uczni „Glorji” siedzieli kilka dni nad odczytywaniem zapisów i rozszyfrowywaniem wskazań przyrządów, a następnie nad zestawieniem tego całego materiału. Niestety, jakichś większych rewelacji nie ma. Jedno jest ciekawe: jak się zdaje Mars zachował dość dużo ciepła w swoim wnętrzu, „Magoty” nie stwierdziły poza tym nic — co by żyło, poruszało się, przejawiało najmniejszy ślad działania.

Najmniejszych śladów pobytu tutaj ludzi. Choćby jeden gwoździk lub guzik. Gdzie się więc podziało naszych 18 wielkich aparatów latających i ponad tysiąc ludzi? Czyżby nie byli w stanie pozostawić najmniejszego nawet znaku?

Mimo wszystko któryś z „Magotów” znalazł rzecz niezmiernie ciekawą, która może naprowadzić na różne, chyba dość konkretne domysły. Jest to mała kawałek czegoś w rodzaju rurki, z zachodzącymi na siebie członami (jak na przykład brzuszek oddychającej osy). Rurka ta jest elastyczna, i w związku z tą swoją szczególną budową daje się skręcać i wydłużać. Zbudowana jest z nieznanego metalu. Analiza wykazała stop cyrkonu ze złotem i jeszcze jakąś nieznaną substancją.

(d. c. n.)

## Z muzyką pod strzechy

(Dokończenie ze str. 8)

Jesteśmy Kopcuzszkiem w dziedzinie twórczości muzycznej, a wykonawcy nasi należą wszak do światowej czołówki.

Jeśli mam być szczery, to spośród polskich symfoników najbliższy jest mi Karłowicz. Otóż pilnie śledzę czy coś nie ukazuje się w polskich nagraniach z twórczości tego kompozytora. Do tej pory nagrało go jeśli się nie mylę zaledwie dwa utwory: „Stanisław i Anna Oświecimowie” i „Odwieczne pieśni”. Trudno zgadnąć dlaczego wybrano właśnie te utwory a nie inne, bardziej reprezentatywne, bardziej popularne jak: koncert skrzypcowy, „Epizod na maskaradzie” czy wreszcie urzekającą „Rapsodię Litewską”, którą nagrało, ale w Związku Radzieckim. Importujemy więc własnych mistrzów zamiast ich eksportować. Zupełnie jak w polskim handlu. Poza tym, moim zdaniem, niewspółmiernie wiele miejsca w polskich nagraniach zajmują utwory świętej daty współczesnych kompozytorów polskich. Biorąc pod uwagę funkcję płyty, która obliczona jest na zaspokojenie masowych potrzeb uważam, że nagrywanie utworów o charakterze dość ekskluzywnym chyba celu. Przypomina mi się tu dowcipne wyrażenie Konstantego Mackiewicza, naszego największego malarza wśród mów-

ców, który dyskutując nad genialnością żyjącego współcześnie artysty powiedział: „Panowie, pozwólcie mi umrzeć potem zobaczymy czy to był geniusz”. Wracając do naszych kompozytorów uważam, że utwory, które jeszcze nie zbiadziły pod strzechy kwalifikują się do nagrań na taśmie magnetofonową.

Bieżący rok daje specjalną okazję żebyśmy otrzymali wreszcie naszą narodową operę — na długich nagraniach. „Mamy nienadzwyczajne nagranie „Halki” na bodaj czterestu płytach! Wśleć się można, a przecież nagrania mają służyć wręcz przeciwnemu. Rok mickiewiczowski, czy też stulecie „Pana Tadeusza” były czczone jubileuszowymi edycjami wlepszczą. Proponuję uczczenie 100-letniej rocznicy warszawskiej premiery „Halki” — wydaniem w sposób najbardziej luksusowy w naszych warunkach, nagrania tej najpopularniejszej polskiej opery z udziałem najwybitniejszych wykonawców jakich mamy dziś w kraju. Byłoby to najlepszy hołd, złożony skromnemu organizacje z Wilna. Pamiętajmy też, że oprócz olbrzymiego sentymentu jakim każdy z nas darzy „Halkę” — jest ona jedyną dotąd operą na eksport.

CZESŁAW ZAWADZKI

Wśród sztuk telewizyjnego teatru wybijających się na pozycje zaszczytne w ostatnich dniach kwietnia, jedno z pierwszych miejsc przynależać należy inscenizacji widowiska „Opera za trzy grosze” Bertolta Brechta.

Spektakl dla telewizji przygotował debiutant Konrad Swinarski, premiera odbyła się jednak nie w studio telewizyjnym, lecz przed publicznością, na scenie Teatru Współczesnego. Z tego powodu najprawdopodobniej reżyser musiał zrezygnować z zabiegów nadania widowisku szczególnych wyróżniających je telewizyjnych walorów. Pomimo więc firmowania przedstawienia przez telewizję, była to premiera teatralna, zresztą bardzo ciekawa. Reżyser, wieloletni uczeń Brechta w Berlinie, wyposażył „Operę za trzy grosze” w charakterystyczne cechy brechtowskiego teatru przeprowadzając je konsekwentnie i to chyba podkreślić należy przede wszystkim.

Tylko na ekranach telewizorów, rzadziej na ekranach kin spotkać może widz swych ulubieńców, których nie ma już w Łodzi. Alicja Raciszówna i Ryszard Barczyński to para aktorów, którzy spędzili w naszym mieście wiele lat i zaskarbiłi sobie sympatię liczących bywalców teatralnych. Oboje od dawna przebywają w Warszawie. Raciszówna i Barczyński przypomnieli się swym łódzkim sympatykom na ekranach telewizorów. Wystąpili w warszawskiej inscenizacji sztuki „Zeglarz” Jerzego Szaniawskiego. Trafna obsada roli (Cz. Wollejo, L. Pietraszkiewicz, S. Bułkiewicz, K. Dejunowicz), wytworzenie i utrzymanie do końca

## Ostatnie premiery kwietnia

tak szczególnej dla twórczości Szaniawskiego atmosfery, dobre rozwiązania sytuacyjne i nie budząca wątpliwości sumie ciekawy i głośny (w sumie ciekawy telewizyjny spektakl „Jeszcze jedna „Łódzianka”

przebywająca w stolicy przypomniła się na małym ekranie. Zofia Perczyńska wzięła udział w udanej inscenizacji Teatru Sensacji. Była to nowela Chestertona „Przygody Ojca Browna z panem Lampką”, w reż. J. Słotwińskiego. Z. K.

## Rozmaiwości staropolskie

(Dokończenie ze str. 7)

nłem aprobując projekt ustawy o tolerancji. W końcu posyła w nocy projekt do księdza Skargi i księdza Bartyscha vel Barszcza (swego spowiednika). Ilek patusu historii w tej scenie! Ojcowie Jezuitów w nocnej ciszy pochłeni nad dokumentem państwowym doszukują się zdrady i decydują o sprawach Rzeczypospolitej! I naturalnie „badali ojcowie i odkryli zdradę... Nie tylko nie pozwolił ksiądz Skarga podpisać królowi ustawy, która miała na długie wieki świadczyć chlubiście o tolerancji narodu polskiego, być sławnym pomnikiem tolerancji polskiej (tak, tak, czymś w rodzaju siedemnaścioletniego polskiego „października” o którym głośno na świecie), ale od wczesnego rana zaczął wojowniczy ksiądz podburzać biskupów, senatorów i co głupszych posłów, żeby cofnęli zgodę na ten wielki akt tolerancji. Zdesperowani innowatorzy zerwali sejm. Odtąd nie bez racji przylano do księdza Skargi przezwisko: „Praecipuus turbator Republicae” — główny wicherzyiciel Rzeczypospolitej.

Mniej więcej w pół wieku potem pisał wybitny poeta Wacław Potocki:

„Cóż tedy będzie dalej? Jeśli mnie kto spyta: W księżą Rzecz się obróci samą Pospolita... Obacz i zaplacz, minie czas matulki. Naszy wnukowie księżej panowania skutki.”

Hml.

Obawiam się, żeby nie zaczęło częściej stosować w stosunku do nas środków „przymusu religijnego” (vide artykuł J. M. Święcieckiego w dwumiesięczniku katolickim „Homo dei”)

Strzeżcie się, ateści!

Władysław Rymkiewicz

P. S. Przepraszam Szaniawnych Czelników za te okropieństwa i niemodne już dzisiaj czarnowidztwo. Następny felieton będzie pogodny, „romansowy”, o Marynie, polskiej carowej na Kremlu.

Z poważaniem Wł. R.

9 odgłosy  
str.

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”  
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 56. Tel. 244-79  
Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca  
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4— zł, kwartalnie 12— zł  
Prenumeratę przysyła wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK  
„Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-579  
z zaznaczeniem na „Odgłosy”  
Druk. RSW „Prasa” — Łódź, Żwirki 17. Z. 1425. IV. 55. M-4



W roku 1949 Julian Tuwim rozpoczął redagować w „Problemach” dział Cicer cum Caule czyli groch z kapustą, stanowiący wynik:

Sperania po foliach grubych,  
By dwuwierszową złożyć wzmiankę  
(„Kwiaty polskie”)

Przez sześć lat nieprzerwanie w każdym numerze „Problemów” ukazywały się niezwykle ciekawe informacje z zakresu historii literatury, historii obyczajów, historii wynalazków, w zakresie ludoznawstwa, linwinistyki, a przede wszystkim interesujących go dziejów słowotwórstwa, stylistyki i wersyfikacji. Z prawdziwą radością powitali czytelnicy książkę wydaną ostatnio nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, książkę która zawiera materiały ogłoszone przez Juliana Tuwima w latach 1949—50.

A oto dwa utwory zaczerpnięte z tego uroczego Panopticum i Archiwum Kultury.

### Wierszyk dla maluczkich

Z książeczki „Śpiew wiosenny dla małych dzieci, który podczas majówki służyć może”, przez F. L. (1862).

Wszystko się raduje,  
Krówka na oborze,  
Owca podskakuje  
I co które może.  
Jaskółka, choć leci,  
Śpiewać ją słyszamy,  
My zaś większe dzieci  
Więcej potrafimy,  
Wszak małe dzieci  
Także już śpiewają,  
Przy pierśi mamy  
Głosy swe wydają.

### 170 lat temu

W roku 1777 wyszła w Berdyczowie książka, której autorem jest ksiądz Józef Iwanicki, profesor szkół w Przemyślu, a której tytuł, jak to za dawnych czasów bywało, nie odznacza się zwięzłością. Brzmi on: „Krótkie zebranie zarzutów ciekawych o rzeczach tego świata pod zmysły nam podpadających i je zadziwiających, ku pożytkowi młodzi zwięzłymi odpowiedziami utulione i na widok potzschejny wydane”. Wyszło to dziełko z drukarni „Fortecy N. Maryi Panny za przywilejem J. K. Mści”, a czytając je można, jak mówią uliczni kolporterzy warszawscy, „zaśmiać się samemu i całą rodzinę zabawić”. Oto mała wiązanka owych „ciekawych zarzutów” i uczonych odpowiedzi:

**PYTANIE:** Czemu człowiek wiele dokazuje, latać nie potrafi?

**ODPOWIEDZ:** Acz człowiek pomierne ciężkości ciała mogłoby sobie przysposobić skrzydła, atoli dla mdłych i słabych żył w ramionach nie ma tyle siły, która by mogła wystarczyć machaniu barkami zdolnemu do unoszenia się w powietrzu.

**P. Co sen zwykło w ludziach i zwierzętach sprawować?**

**O.** Umniejszenie ożywających duchów, czyli to w mózgu, czy też w żyłach znajdujących się. Przeto, po z mordowaniu ciała lub zażyciu obfitego pokarmu, twardszy sen miewamy, albowiem opracowanie duchy ożywające rozprasza, i z zbytniego pokarmu sama przygrubsza niby flegma w nas wznieca się, z której mało co bierze duchów ożywających ciała.

**P. Co jest wiosna?**

**O.** Jest to pewna odmiana czasu albo pierwsza część roku najswobodniejsza ku ukontentowaniu człowieka, w której wszystkie rzeczy jakoby obumarle ożywają.

**P. Dlaczego soki i napoje jedne przyjemne ustom, drugie przykre i szczypiące?**

**O.** Różne napoje i roślinki z różnych składają się cząsteczek. Które tedy z okrągłych lub coś do okrągłości przystępujących, te są miłe i przyjemne ustom. Przechwile: które składają się z kończastych i zaostzonych, te są przykre i szczypiące, np. ocet.

**P. Co jest woda?**

**O.** Jest roślink z cząsteczek jedna od drugiej rozłączonych ułożony. Dzieli się na źródła, rzeki, morza.

**P. Czyli ludzie są w morzu?**

**O.** Nie masz, ale tylko niejaka jest postać i podobieństwo do ludzi w rybach. Gdy zaś pozorną wiadomość przytaczają niektórzy z czytania dziejów, jakoby w postaci biskupa pokazał się na morzu mówiący: „Cudowny Bóg w niebie, cudowny na ziemi, najcudowniejszy w morzu” — to gruntownym dowodem jestestwa ludzi nie jest, gdyż Bóg i przez Baalamową oślicę przemówił, a przecież nikt ją z tej miary nie nazywał człowiekiem. Toż zrozumieć i o tej w postaci biskupa rybce.

**P. Co jest śnieg?**  
**O.** Jest zbiór najdrobniejszych kropeł wody. Te, mrozem ściśnione, w pasma się najprzód wiążą, potem w rozmaite kosmy różnego kształtu, spadając, składają się. Śnieg, że wiele ma w sobie waporów i odrobinu saletry szkodzi zwierzętom i chrapkę sprawuje.

(Książka wyszła 170 lat temu. Kto wie, może za lat 170, w roku 2118, jakiś owych czasów cicercumcaulista będzie cytował nasze, współczesne „zarzuty ciekawe”, wykpiwając ich naiwność, nieuczciwość i ciemnotę).

*Julian Tuwim*

JAN CZARNY VII

### Historia o Bzdurowie we fraszkach i obrazkach



Rys. H. Poulain

### SOLIDARNOŚĆ

W Bzdurowie taka panuje  
maniera,  
że każdy sam siebie z zapalem  
popiera.

ALEKSANDER STROKOWSKI

### OWOCARKA

Zielone oczy miała...  
— na pewno niedojrzała!

### OBIEKTYWIZM

Aby przyjąć tezy nieba  
Z diablem też pogadać trzeba.

### NAJOSTRZEJSZE

### OLÓWKI ŚWIATA

## Virgil Partch

albo

## rzeczy makabryczne

Ulubionym rekwizytem Virgila Partcha jest rewolwer, lub jakaś inna broń (np. łuk); Amerykański rysownik ukazuje najczęściej sytuację, gdy ktoś zostaje zastrzelony, pchnięty nożem, o'ruty — a przynajmniej „ciężko uszkodzony fizycznie”. Ciągłe w tych żartach ktoś wylatuje w powietrze, wali się na łeb ze szczytu drapacza chmur, lub wręcz zapada pod ziemię. Młodzi chłopcy mordują, albo doprowadzają do samobójstwa swych rodziców; pokoje hotelowe i podmiejskie lasy pełne są nieuprzątniętych szkieletów ludzkich.

Mówiąc o humorze Partcha przypominają się stare powiedzonko: — To są żarty szczególnie odpowiednie na dni upalne. — Dlaczego? — Bo mrozą krew w żyłach. Tyle w tych makabrycznych dowcipach jakiejś chorobliwej, sadystycznej obsesji!

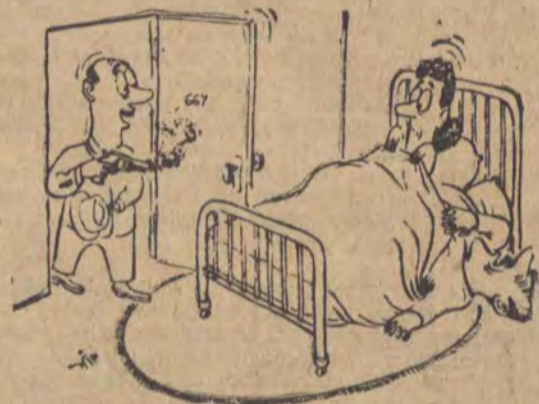
Ale niepokojąca obsesja ujawnia się dopiero po obejrzeniu większej porcji żartów amerykańskiego rysownika. Bo jednak każdy szkic z osobna pozostaje dowcipem — i budzi uśmiech. Śmiejemy się z każdej przesady. Stąd też — kiedy Partch ukazuje w sposób przesadny, gdy doprowadza krwawą sytuację aż do nieprawdopodobieństwa, do absurdu — wszystko obraca się w żart.

Trudno zrozumieć, dlaczego Virgil Partch, humorysta uznawany w USA za jednego z najwybitniejszych — jest tak mało znany w Polsce. Nasze pisma wolą przedrukowywać łatwiutkie

dowcipy o teściowych, tworzone na kopy przez anonimowych rysowników zachodniemieckich, niż trudniejsze żarty absurda Amerykanów, czy Włochów...

Virgil Partch wywodzi się z zespołu „New Yorkera”. Od kilku lat — z nieznanych przyczyn — zerwał z macierzystym piśmem, publikuje najwięcej w „Look”, „True Magazin” i „Saturday Evening Post”.

J. W.



Oh, przepraszam! Myślałem, że to pokój 665!



Mam tego dość! Weź te 20 centów i kup lepy na muchy.



— Znowu ten Indianin z dołu urządził się kompletnie! („Collier's")

Za tydzień:

## ANDRÉ FRANCOIS albo żarty o malarzach



ZBIGNIEW NIENACKI

# ZABÓJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBISA

Powieść

ILSTRACJE  
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

STRESZCZENIE

Poszukujący zabójcy swego przyjaciela Pronobisa, poeta Nataniel i publicysta Tomasz przybywają do pałacu w Borowie, gdzie wypoczywa grono intelektualistów. W nocy następuje kradzież — ginie część sławnej zastawy borowskiej i obraz pochodzący z pracowni Rubensa. Kradzieży tej dokonac mógł jedynie ktoś z borowskich gości. Pod szafką, nad którą wisiał ów skradziony Rubens, poeta Nataniel odnalazł szkiełko od zegarka, należąca prawdopodobnie do złodzieja.

Podczas kolacji pilnie obserwowaliśmy z Nataniem ręce wszystkich borowskich gości. Część ich w ogóle nie nosiła zegarków, reszta zaś posiadała je, ale nie brakowało im szkiełka. Pozostała możliwość, że ktoś, kto je zgubił, po prostu nie zabiera ze sobą zegarka. A może szkiełko pochodzi nie od ręcznego, lecz od kieszonkowego czasomierza?

Jednym słowem: sprawa komplikuje się.

\* \* \*

Do kolacji zabrałem ze swego pokoju „Przyczynę do działalności opata Piotra”, który przywoziłem do Borowa — i zeszedłem czytać na pierwsze piętro do pałacowej biblioteki.

Jest to ogromna, podłużna sala znajdująca się na osi pałacu ponad sienią przejazdową. Wezże ściany mają po trzy wysokie okna — jedna trójka na dziedzińcu, druga na ogród. Pod dłuższymi ścianami stoi trzynaście ozdobionych szaf angielskich z mahoniem w stylu Jacob, obitych listewkami mosiężnymi, a w szafach mieści się 10 tys. woluminów, w tym kilka rzadkich druków tzw. „cy-melli”.

Pod oknami od strony ogrodu tkwią dwa globusy chyba półtorametrowej wysokości, ustawione na drewnianych postumentach. Na jednym z nich wymalowano mapę nieba, na drugim kulę ziemską. Jak opowiadał doktor W. — obydwie te globusy wykonał Wincenzo Coronelli (urodzony w 1650 r. w Wenecji), słynny geograf włoski, założyciel pierwszego w świecie towarzystwa geograficznego pod nazwą „Akademia Argonautów”.

Nagle zgasły w bibliotece dwa wielkie, szklane żyrandole i tylko przyciąsający w kominku ogień rozjaśniał czerwono skrawek perskiego dywanu. Wcisnęły w rozległą kanapę, pół leżąc staralem się wyobrazić czas, gdy po tej długiej sali spacerowała księżna Helena Radziwiłł, pani bystra, ale zbyt sentymentalna, zakochana we wszystkim, co miało urok egzotyki, co obce, co antyczne, co romantyczne. Wyobrażałem sobie, jak rozmarzona, drobnymi kroczkami stąpając po bibliotece, wdychała sentymalnie i po włosku: „O, miłsza nad inne arkadyjska ziemia, tyś mi najdroższą między krainami...”

Rozwarły się z traskiem drzwi do Małej Jadalni. Ktoś zajął do biblioteki.

— O, i tu również ciemno — usłyszałem aksamitny głos Katarzyny Rokoko, aktorki dramatycznej.

— Pewnie w całym pałacu wylączyl światło? A może zepsuło się na linii? — poznałem głos „Kostka”, tłumacza beletrystyki.

Obydwoje nie mogli mieć widzieć, bo było ciemno, a poza tym zasłaniało mnie ramie kanapy.

— Włec co będziemy robić? — zapytała kapryśnie Katarzyna Rokoko.

Podstarzała piękność i młody smarkacz czyli para turkawek szukająca miejsca do miłości — pomyślałem. Lecz zaraz zmieniłem zdanie.

„Kostek” powiedział:

— Grzegorzeczek proponował oranżerię, tam rzadko kto przychodzi. Ale w tej sytuacji oczywiście nie można ruszyć się z pałacu. To obudziłoby podejrzenie.

— Włec co? Może w twoim pokoju?

— O nie! Obok mieszka ta Pani z Wydawnictwa, wścibska i ciekawska. Boję się, że może nas zaszpiclować. Już ja ją znam.

— Ech, niedobrze... — westchnęła Rokoko. I poszła. A ja począłem wyliczać:

Podejrzanym jest profesor Zann, bo tragicznej nocy dochodził z jego pokoju tajemniczy rumor. Podejrzanym jest malarz Borówko, bo chce się oddalać. Podejrzanym są: Rokoko,

„Kostek” i Grzegorzeczek, bo pragnęli gdzieś coś ukryć. Podejrzanym jest także osoba, nazwijmy ją XY, która zgubiła szkiełko od zegarka.

U licha, co za dużo tych podejrzanych? P. S. „Kostek” miał rację, światło zepsuło się na linii; w pół godziny później je naprawiono.

P. S. Oficerowie milicji podobno już odjechali. Oczywiście sprawcy rabunku nie odnaleziono.

P. S. W moim pokoju nad łóżkiem wisiał nieduży obraz zrobiony barwną kredką. Jest to rysunek Mali Berezowskiej z tytułowany „Biblioteka w Borowie r. 1949” — zapewne, będąc w tym czasie w Borowie pozostawiła po sobie pamiętkę.

Obraz przedstawia właściwie tylko część biblioteki. Na pierwszym planie widać ogromny globus z mapą nieba, dalej w perspektywie szafy z książkami, a nad nimi sylwetki obrazów, wielka kanapa angielska i pod trzema oknami na dziedzińcu stolik i dwa fotele.

Kiedy po pisaniu wypoczywam w dużym, miękim fotelu, jaki posiada mój pokój — patrzę często na ów rysunek i uderza mnie w nim coś, ale nie potrafię tego wskazać, określić, co to takiego.

17 stycznia

Z samego rana służący Józef ubrany w czarną liberię wóznego Muzeum Narodowe-



go, przyniósł na tacy do łóżka obfite śniadanie. Uprzejmie zachęcając do jedzenia i zapewniając, że pogoda dziś „wspaniała”, poczęstował mnie „przysmakiem”, po którym natychmiast poderwało mnie z łóżka.

— A proszę paana — akcentował „a” — dzisiaj w nocy ukradli nam de Ribere i tego, no... Dürera.

— Co? Gdzie? Jak? Józef nie umiał jednak, a może nie wolno mu było „podać szczegółów nowej kradzieży. W te pędy poczęłem równocześnie jeść śniadanie, golić się, myć, palić papierosa. Potem z nieco pokiereszowanym obliczem zbiegłem na dół do Nataniela.

Spotkałem go na parterze, idącego długim białym korytarzem. Mistrz śpieszył do mnie z tą samą rewelacyjną wiadomością, co i ja do niego.

— Wyobraź sobie, Tomaszu, przed chwilką był u mnie doktor W. z pretensją, że niby to ja wskazałem złodziejom drogę opowiadając wczoraj, że najbardziej warto ukraść „Głowę starca” i „Chrystusa” Dürera. Coś takiego? To już nawet nie wolno wygłaszać swych opinii o obrazach?

— W każdym bądź razie milicja ma teraz niezbity dowód, że złodziejem jest ktoś z borowskiego towarzystwa — rzekłem — i że złodziej nie zna się zupełnie na sztuce. Wczoraj wyśmialiście go z doktorem i narzeczcie dowiedziały się, które obrazy są wartościowe. Potem popełnił nową zbrodnię...

— Prawie na oczach milicji. Co za odwaga?

— I kto to? Ktoś z nas, Natanielu. A jest między nami sławny profesor, pisarz, krytyk, tłumacz, wydawca, redaktor, malarz, znakomita aktorka, ba, genialny poeta Nataniel...

— Co za dziwne czasy! Co za złodziejskie czasy!

— Pssst! Umarli nas słuchają — przestrzegł mnie Nataniel i wskazał niszę w ścianie za moimi plecami. W niszę stała nieduża, antyczna urna z prochami.

— Wróćmy do rzeczywistości, Natanielu. Czy nie wiesz, jak odbyła się ta ostatnia kradzież?

Mistrz wzruszył ramionami:

— Po prostu rano stwierdzono, że w nocy wyjęto z ram „Głowę starca” i „Głowę Chrystusa”.

— Drzwi do pokojów były niezamknięte?

— Podobno w drzwiach zamki były pata-

lach otworzy.

— Skandal — mruknąłem.

— Jaki skandal? Z zamkami?

— Nie, spojrz...

U wylotu „rzymskiego” korytarza w sieni przy drzwiach na dziedzińcu kręcił się malarz Borówko, podejrzliwie rozglądając się na wszystkie strony, podobny swym zachowaniem do tropionego przez psy zajaca. Był ubrany w palto i futrzaną czapkę, pod pachą miał stalugi, a w ręku dużą, drewnianą

skrzyneczkę, w jakich malarze zwykli trzymać farby i pędzle. Nagle Borówko zobaczył mnie i Nataniela, dał susa w głąb sieni — usłyszeliśmy loskot otwieranych i zamykanych drzwi od ogrodu.

— Uciek!

— Oddalił się!

Ruszyliśmy w pogoń. Lecz nim zdołaliśmy w szatni narzucić na siebie palta, zanim wybiegliśmy do ogrodu — malarza już tam nie było. Popędziliśmy grabawą aleją, skoczyliśmy nad zamrażniętą staw, pokreśliśmy się wokół kamiennych, gołych bab z obwisłymi piersiami, o wypiętych brzuchach i okrywających wstydlive miejsce dziwaczny garnuszkami — ale malarza Borówko nigdzie nie odszukaliśmy. Zniknął. Zapadł się pod ziemię.

— W takiej drewnianej skrzyneczce można chyba doskonale ukryć zrolowane płótno de Ribery — stwierdziłem.

— Na pewno! Przecież, gdyby nie wynosił czegoś podejrzanego, nie zachowywałby się tak dziwnie.

Wróciliśmy do szatni. I tu napotkał nas Redaktor „Horyzontów Filatelystyki”.

— Panowie byli na spacerze? Czy wolno już opuszczać pałac?

Opowiedzieliśmy mu o dziwnym postępowaniu malarza Borówko i o drewnianej skrzynce, z którą przed chwilką zniknął w ogrodzie.

— No, no, no — pokręcił głową Redaktor. Nic więcej nie potrafił rzec w tej niezrozumiałej kwestii.



kilkanaście minut przed obiadem zeszedłem do palarni. Okna jej wychodziły na południe i teraz zalewały palarnie potoki słońca. Przysunąłem fotel pod radiodziobnik, wyszukałem smutnego sofaxa. Po chwili przydrętała pani Rokoko, jakaś inna niż dotąd, prześlizgnęła, a może zakochana? Ucieszała się jak młoda, wiejska dziewczyna, blond włosy tijała gładko, tylko z przedziałkiem i dwoma małutkimi skrządelkami rozchodzącymi się od przedziałki. Miała naturalne kolory na policzkach i gołe ramiona.

— A pan marzy... pan marzy... — powiedziała zalotnie, aksamitnie. I poczęła recytować z Petrarki, a była to naprawa dobra aktorka:

„Jeśli to nie jest miłość — co ja czuję?  
A jeśli miłość — co to jest takiego?  
Jeśli rzecz dobra — skąd goręcy, co truje?  
Gdy zła — skąd słodczy cierpienia takiego?”

Tupiąc butami zbiegł z góry tłumacz „Kostek”. Aktorka szepnęła mi z wyrzutem:

— Gdzie byłes? Gdzie jest twój pokój? Tak szukałam...

— Przecież ci już dwa razy tłumaczyłem. Na drugim piętrze. Ostatnie drzwi.

A jednak turkaweczki — pomysłale. — Co ona widzi w tym „Kostku”? Nos w wargach, obwisła dolna warga, niskie czoło. Zabrzmiał gong na obiad.

\* \* \*

obiedzie wziął udział oficer milicji, podobno przydzielony do nas już na stałe, to znaczy aż do chwili schwytania złodzieja.

Na obiad z niezwykłą punktualnością zjawił się także malarz Borówko. Siedział obok oficera milicji i zupełnie nie zdradzał zanępkowania. Postanowiliśmy z Nataniem nie demaskować go od razu. W poczuciu zupełnego bezpieczeństwa Borówko zaryzykuje może jakiś fałszywy krok i sam się zdemaskuje. My i tak będziemy mogli w każdej chwili powiedzieć, że jednak wychodził z pałacu...

— Czy wiesz, Natanielu, że pracuję tu nad pierwszą w życiu powieścią współczesną? — zagadał Poważny Prozaik.

— Ceniono cię zawsze jako pisarza historycznego — rzekł mistrz.

— No tak... widzisz, ale — Prozaik wyl się jakby w bólach. Krytyka a między innymi i obecny tu pan Grzegorzeczek, przekonała mnie, że uciekam od rzeczywistości, od przemian, od osiągnięć. Potem dostałem półroczne stypendium i zamówienie społeczne.

— Ciekawe... — mruknął Nataniel.

— Kazali mi lechać do fabryki obuwia.

— Oburzając! Buty ci kazali robić? — Nataniel aż tyżkę odłożył.

— Nie, Natanielu, książkę o butach. Mistrz z pełną aprobatą pokiwiał głową: — To bardzo dobrze. Przynajmniej nareszcie ktoś ładną polszczyzną opíše, jak się w butach robi dziurki do sznurowadeł. Ta sprawa interesowała mnie od dzieciństwa. Od dawna też stwierdzam, że nasza literatura ma lukę w tej dziedzinie. Przecież poemaciku Słowackiego „O Janku, co psom szył buty” nie możemy w naszej dobie traktować poważnie. Od czasów Słowackiego nastąpiły w bazie zmiany stosunków, mamy nowoczesną technikę produkcji obuwia. Myślę, że te wszystkie zasadnicze sprawy uwzględni przedmowa, którą zapewne napisze pan Grzegorzeczek.

Stokrotka zachichotała. Poważny Prozaik zawałał z przestrachem.

— Natanielu, przemawiasz do mnie tymi samymi argumentami, jakich używał pan Grzegorzeczek, gdy opierałem się przed wyjazdem do fabryki obuwia.

Zamiast Nataniela odpowiedział Grzegorzeczek, bełkotając ustami pełnymi jedzenia:

— Gdy dwóch mówi to samo, to nie jest to samo.

Nataniel z wyrazem troski na twarzy, odparł:

— Uważam, iż potrzebny byłby nam artykuł demaskujący Goethego. Iluż młodych ludzi po przeczytaniu „Cierpień młodego Werthera” popełniło samobójstwo? Sam znam aż dwa takie wypadki. Szopenhauer pisał, że „matka sztuk pożytecznych jest potrzebna, zaś sztuk pięknych — zbytek”. Ponieważ tymczasem nie stać nas na zbytek po co nam sztuki piękne? A w ogóle co to jest sztuka?

Poważny Prozaik zauważył:

— Całkiem się poświęcił sztuce i nie umrzeć z głodu to jest s z t u k a.

— Z dziełami sztuki ma się tak jak z ludźmi — powiedział. — Niektórzy są nam miłi mimo ich znacznych błędów.

— Pan błędził — wykrzyknął Grzegorzeczek. — Staram się być miły — odrzekłem.

Grzegorzeczek próbował beznadnie rozłożyć ręce, ale uczynił to tak niefortunnie, że stracił ze stołu porcelanowy spodeczek z kawalkiem ciasta. Spodek upadł na podłogę i z nieprzyjemnym chrzęstem rozsypany się w drobniutkie kawalki. W jadalni zaległa cisza, którą zmącił jedynie patetyczny głos Nataniela:

— Niczego mi, proszę pana, tak nie żal, jak porcelany.

Znowu zapanowała cisza. Wspaniała aktorka dramatyczna, Katarzyna Rokoko, poczęła recytować śpiewnie i aksamitnie:

„Różowe moje spodeczki  
Kwieciste filiżanki,  
Leżące na brzegu rzeczek,  
Tam kiedy przeszły tanki,  
Wietrzyk nad nami polata,  
Puchy z pierzyny roni,  
Na czarny ślad opada  
Złamany cień jabłoni,  
Ziemia, gdzie spojrzysz, zastana  
Bryzgami kruchej piany,  
Niczego mi, proszę pana,  
Tak nie żal jak porcelany”.

Było cicho, cichuteńko. Grzegorzeczek nagle powstał z krzesła z gniewu czerwony na twarzy. Potem porywczo wyszedł z jadalni trzasnąwszy drzwiami.

— Teorie mamy zazwyczaj dla innych, a dla siebie zatrzymujemy praktykę — rzekłem cierpko. I dodałem:

— Uczą nas filozofowie, że prosta droga jest najkrótza, a przeciw wielu ludzi krzywymi najprędzej dochodzi do celu.

— Dawniej mówiono: „ręka ręce myje, noga nogę wspiera”. Dziś trzeba mówić: „ręka ręce drapie, noga nogę kopie” — powiedział Nataniel. — Medrzy ucza nas: Wiele znieść — dowodził mądrością, wszystkie znieść — objętości; nie nie umieć znieść — głupoty.

— Poeści powiadają, że dawniej był wiek złoty, obecny wiek zowią atomowym — wypowiedział się Poważny Prozaik. — Ale moim zdaniem wiek nasz należy zwać papierowym.

— Boże, chroń nas od pożaru! — westchnął redaktor „Horyzontów Filatelystyki”.

Wszyscy spojrzeli na niego z ogromną sympatią. Wtem ozwał się malarz Borówko:

— Trzeba się czolgać, żeby dojść do czegoś. Ze zwierząt tylko dwa i to czolgające się mają własny domek, żółw i ślimak.

— Ooo! — ziewnął Nataniel — wszystkie reguły są nudne. Interesują nas dopiero wyjątki.

Zakończył rozmowę milczący dotąd oficer milicji. Rzecz poważnie:

— Państwo mogą sobie gadać co chcą, ale i tak ktoś z państwa jest włamywaczem i złodziejem. Kto się w porę do winy przyzna, będzie mu ona darowana w połowie...

Smutnie zwiesiliśmy głowy nad talerzami. Eleonora z Kraszewskich cicho upominała Poważnego Prozaika:

— A ty się w polityczne rozmowy nie wdawaj, nikogo się nie radź i nikogo nie słuchaj...

(d.c.n.)

Gdzie się oddalił malarz Borówko?

czytaj następne rozdziały



Mieczysław Ważkowski

## SYLWETKI MŁODYCH TWÓRCÓW

Niniejszym otwieramy na jakiś czas okienko, w którym będziemy przedstawiać widzowi — młodych twórców — bądź to rozpoczynających samodzielną pracę, bądź mających już pewne osiągnięcia twórcze. W dzisiejszym okienku występuje Mieczysław Ważkowski, reżyser filmowy — absolwent PWSF — a zarazem / prelegent, prowadzący ożywiającą działalność na terenie Dyskusyjnych Klubów Filmowych. P. Mieczysław Ważkowski jest m. in. autorem filmu „Somnambuley”, pokazywanego podczas Festiwalu Filmów Eksperymentalnych w Brukseli. Chociaż film „Somnambuley” nie zdobył nagrody, niemniej w wyjątkowo trudnej konkurencji spotkał się z entuzjastycznymi opiniami międzynarodowej krytyki filmowej.

Obecnie p. Mieczysław Ważkowski przygotowuje wraz z Ja-

rosławem Iwaszkiewiczem scenariusz pełnometrażowego filmu fabularnego.

## ZDOBYWCY NAGRÓD I MEDALI

Redakcja „Mieszanki Filmowej” zauważa z satysfakcją, że zrealizowany przez Waleriana Borowczyka i Jana Leniec film pt. „Dom” zdobył na Festiwalu Filmów Eksperymentalnych w Brukseli zaszczytną, pierwszą nagrodę. O filmie „Dom” pisaliśmy w 3 numerze „Głosów”. Łożdzianom możemy zakomunikować, że autor zdjęć do nagrodzonego filmu — operator Antoni Nurzyński — mieszka w naszym mieście i pod nieobecność reżyserów przyjmuje telefoniczne gratulacje (33-11). P. Antoni Nurzyński jest absolwentem Wydziału operatorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Medal w tym samym konkursie zdobył także film polski („Dwaj ludzie z szafą”), zrealizowany przez Romana Polańskiego (reżyseria) i Macieja Kijowskiego (zdjęcia). O filmie tym napiszemy szerzej za tydzień, z racji przedstawienia w „Sylwetkach młodych twórców” postaci R. Polańskiego.



## SPRAWA DO ZAŁATWIENIA

Nie ulegą wątpliwości, że należy rozpocząć dyskusję o młodzieży filmowej. Dlatego decydujemy się na publikację poniższego felietonu, mimo jego częściowej dezaktualizacji. Obecnie sprawa wygląda nieco inaczej, asystentura nie stanowi już przedtem groźby — jest natomiast celem marzeń absolwenta PWSF, który nie zawsze otrzymuje pracę.

Winę za ten stan rzeczy ponosi m.in. Przedsiębiorstwo „Zespoły Autorów Filmowych”, zdające się lekceważyć wyjątkowo przeciętne istotne problemy własnego podwórka.

# MIESZANKA FILMOWA



LUCIA BOSE

## EKHANIK

### „BAL POTĘPIENCÓW”

Szalonym powodzeniem cieszy się w Paryżu nowy film amerykański Edwarda Dmytryk (twórcy m. in. znanego u nas dzieła „Za cenę życia”), „Bal potępienców”, oparty na głośnym bestsellerze. Film w wstrząsający sposób maluje tragedię młodego pokolenia w latach ostatniej wojny. Niezwykle interesującą konstrukcją łączy trzy opowieści o losach dwóch przyjaciół — żołnierzy armii USA i jednego oficera niemieckiego. Obrazy niesłychanego okrucieństwa, nieprawdopodobnego heroizmu, niezwykłych przygód i bojów na polach Francji, Libii, Niemiec przepłatają się z tragicznymi wizerunkami ludzi, których wojna wbrew własnej woli, oderwała od normalnego spokojnego życia. „Bal potępienców” to



Rys. Ibis-Gratkowski

### STAROZYTNOSĆ SIĘ NIE STARZEJE

Tyle już stuleci minęło od upadku starożytności, świata Greków i Rzymian a jego dorobek kulturalny jest wciąż młody, świeży i zapładniający współczesną myśl twórczą. Zapładniający w rzeczach wielkich i małych. Hiszpański reżyser Manuel Mur Oti w swoim nowym filmie „Istna lada-cznica” wskrzesił po raz niewiadomo który tragiczną opowieść o Fedrze, opierając się na sztuce Seneki. Akcja nowożytnej Fedry toczy się w małej osadzie rybackiej. Piękna Estrella stanowi przedmiot pożądania wszystkich mężczyzn od lat 16 do 80. Lecz ona nie kocha żadnego z nich. Zgadza się jednak poślubić bogatego rybaka Juana. Ten ostatni sprowadza z miasta swego dorosłego syna pięknego Fernanda. Młoda macocha korzysta z pierwszej nieobecności męża by czynić niedwuznaczne awanse swemu pasierbowi. Lecz Fedry,

jak wiadomo, nie mają szczęścia w życiu. Fernando ze zgrozą ucieka przed namietnościami ślicznej mamy. Nieocnieni w takich wypadkach sąsiedzi powiadomili kogo należy, czyli staro Juana, przypisując całą winę Fernando. Między ojcem a synem dochodzi do zasadniczej rozmowy, a że rzecz cała odbywa się właśnie na morzu, więc na skutek któregoś z silniejszych argumentów, syn wleciał do wody. Widząc to, piękna a nieszczęsna Estrella pośpieszyła mu na ratunek. Niestety, za późno. Nie mogąc ocalić ukochanego, dobrośnie ginie w falach morza. Wzruszające, prawda?

### YETI NA REWII MODY

Wytworny hotel w eleganckiej miejscowości górskiej. Jesteśmy właśnie świadkami pokazu modeli luksusowego domu mody. Po zaimprovizowanej scenie lekkim krokiem spacerują zgrabne sylwetki „manekinów”. Nagle licznie zebrani goście wydają okrzyk grozy i kamienieją z przerażenia. Na salę wkracza olbrzym, człowiek śniegu.

Uspokójcie się, drodzy czytelnicy, to tylko scena z realizowanego właśnie w Alpach włoskiego filmu Aldo Quinti pt. „Straszliwy człowiek śniegów”. Opiekę nad młodym reżyserem — debiutantem i jego dziełem objął sam Luigi Zampa (Vivere in pace). Nowy film włoski zapowiada się atrakcyjnie. Piękne, barwne krajobrazy, sensacyjna intryga kryminalna, uroczym modelki no i groźna postać legendarnego człowieka śniegu. Do roli tego ostatniego zaangażowano Pasquale Fasciano, liczącego sobie tylko... 2.10 cm wzrostu. Obok niego wystąpią piękna Lucia Banti, Philippe Hersant i inni.

### SKAT

Dialogi i zawarta w nim satyra opierają się na poleceniach ludzi — dorosłych. Jakże mogą przemawiać do dzieci, zwłaszcza dzieci wychowanych w Polsce (Ludowej) intrygi dworskie, czy żądanie Felka o przyznanie mu tytułu?

Nie według klauki nad brzoźców dzieci wyobrażają sobie królów i nie według klauki na tego rodzaju realnych opierają swe wyobrażenia. Gdyby „Maciuś” przeznaczony był naprawdę dla dzieci, to podług jadący na front winien być bardziej konkretny. Żadne dziecko nie odnajduje w niskich, płaskich platformkach cudownych przeżyć z pierwszej podróży — z parą buhającą z kominą, rozgarnianą lokomotywą i młarowym stukaniem kół.

A dla dorosłych? Dla dorosłych z kolei to wszystko jest za mało pomysłowe i za mało dowcipne. Istnieją dziecięce opowieści przeznaczone „dla dorosłych, którzy zachowali serce dzieci”. Ale stworzenie ich wymagało wielkiego talentu i wyjątkowej wyobraźni artystów. W tym wypadku film przeznaczony nie tyle dla dorosłych, którzy zachowali serce dzieci, ile dla dorosłych, którzy niewiele odróżili od umysłowego poziomu dziecka.

Janusz Korczak pisał swego „Króla Maciusia” dla dzieci. Bardzo kochał swoich czytelników i poprzez przygody swego bohatera chciał im powiedzieć wiele mądrych prawd o świecie. Dlatego znalazł właściwą formę dla tych prawd. A znając umysłowość dziecka dopasował wymyślony przez siebie świat do poziomu swych małych odbiorców. „Król Maciuś I” jest książką powstałą z miłości, dlatego przemawia do wszystkich. Nie tylko do dzieci, ale i do dorosłych.

Filmowy Maciuś jest zmanierowany, przemądrzały i wyzbyty wszelkiego czaru dziecięcego. A cóż może być załośniejszego nad dziecko przedwcześnie dorosnięte i zmanierowane? Zniknął uroczy Maciuś Korczaka zgubiony w obcym świecie i sprawach zbyt trudnych na jego małą główkę. Powstał mały, despotyczny starzec. Jedyna scena dobrze pomyślana, która mogłaby mieć wdzięk — Maciuś zwierzający drewnianemu konikowi wszystkie zmartwienia, troski, została za mało wygrana i za słabo wypunktowana.

Interesująca jest natomiast operatorska strona filmu. Nareszcie w polskiej produkcji dobry kolor. Czysty, interesujący pomysł i konsekwentny.

LIDIA ZONN

## KORRESPONDENCJE POLEMIKI I KORRESPONDENCJE

### INNE ZDANIE O „MACIUSIU”

„Król Maciuś I” jest filmem nieudanym głównie dlatego, że nie wiadomo dla jakiego odbiorcy został przeznaczony. Dla dzieci? Za trudny. — Dla dorosłych? — za prosty.

Lapidarność języka Korczaka przelożono na trudny montaż, wymagający wprawy w kojarzeniu obrazów filmowych. Dzieci (nawet ponad dziesięcioletnie), które przed chwilą zamknęły zbiory bajek z długimi, dokładnymi opisami przygód nie umieją rozwiązywać sytuacyjnych skrótów.